

**Szkoła Podstawowa nr 48 im. Adama
Próchnika w Warszawie**

**MIĘDZYSZKOLNY
KONKURS
LITERACKI I PLASTYCZNY
„JA – ZWIERZĘ”**

Warszawa 2018

Wydawca:

Szkoła Podstawowa nr 48 im. Adama Próchnika
ul. Stefanii Sempołowskiej 4
00-574 Warszawa

Korekta:

Elzbieta Podlipska

Wstęp:

Krystyna Inowolska

Opracowanie techniczne:

Monika Bednarska

Zdjęcia:

Magdalena Bednarska

Trasa dobrych ludzi

Po raz ósmy stanęliśmy do konkursu na opowiadanie i pracę plastyczną o zwierzętach. A właściwie – o ludziach, bo tym razem pisaliście o tym, ile możemy otrzymać od zwierząt, jeśli tylko okażemy im trochę serca. Wędrówka „Trasą dobrych ludzi” niczym nam nie zagraża, nie jest żadnym poświęceniem, nie jest też obowiązkiem. Po prostu daje radość, spokój, zadowolenie.

Opowiem Wam jeszcze jedną historię.

Kiedyś zobaczyłam psa na trzech łapach. Nie wytrzymałam i zapytałam opiekuna, co się stało. Okazało się, że pies został adoptowany ze schroniska już w tym stanie. „No to wszystkie grzechy zostały Państwu wybaczone” - powiedziałam. Usłyszałam: „Proszę Pani, on daje nam tyle szczęścia”.

Nigdy, pod żadnym pozorem nie schodźcie z naszej trasy.

Dziękuję Wam bardzo i życzę, byście zawsze umieli czerpać radość z obcowania ze zwierzętami.

Krystyna Inowolska

Grand Prix
Jędrzej Koba
Gimnazjum nr 117 w Warszawie

Budrys

Kolejny nudny, przeleżany na kanapie przed telewizorem dzień. Ile bym dał, aby cokolwiek się zadziało? Wakacje zawsze są takie same, rodzice, którzy wiecznie zajęci od rana do nocy przesiadują w swoich niewielkich biurowych pokojach, a dzieci jedyne, co mogą robić to siedzieć i się nudzić. Nawet najciekawsza gra zdąży się przejeść nim miną te dwa miesiące. Czasem myślę, że nawet szkoła jest ciekawsza, ale taki paradoks jak „ciekawa szkoła” zdarza się tak rzadko i niespodziewanie, że żaden z moich kumpi nie jest pewny, czy takie zjawisko w ogóle istnieje. W opowieściach rodziców o ich szkolnych latach, jak najbardziej, ale w realu...?

Mamy dzisiaj 30 lipca, czyli został jakiś miesiąc do końca tych wakacji. Mimo że raczej nie widuję rodziców za dnia, zauważyłem ich podejrzanе zachowanie. Jakby chcieli coś przede mną ukryć. – Nie mówcie mi, że będę miał rodzeństwo...! – pomyślałem – No way!!! W końcu odważyłem się zapytać, gdy w nocy siedzieli przy komputerze w salonie i przeglądali jakieś dziwne strony. Byli lekko zaskoczeni moją dociekliwością, ale w iście aktorskim stylu udali, że pracują nad jakimś ważnym projektem. Oczywiście nie uwierzyłem w tę ściemę, ale nie chciałem dalej drażyć tematu. Widziałem, że czują się nieswojo. Następnego dnia powiedzieli, że wrócą z pracy późno w nocy, bo mają wdrożenie systemu. Miałem zrobić sobie kolację i położyć się spać. Obudziło mnie delikatne sapanie przy uchu. Z zamkniętymi oczami zastanawiałem się, czy to jeszcze sen, czy już jawa. Po chwili ciepły, wilgotny dotyk na policzku i delikatne smeranie za uchem przywróciło mnie do rzeczywistości. Otworzyłem oczy i zamarłem przerażony zbliżającym się do mojego nosa ociekającym śliną, ciepłym, różowo-czerwonym jęzorem. Młaśnięcie i lepka ciecz spływająca od nasady mojego nosa do jego czubka wyrwało mnie z odrętwienia. Szybko otarłem twarz rękawem pidżamy i wyostrzyłem wzrok na niewielkiej brązowo-czarnej kupce sierści, która przycupnęła na skraju łóżka. Małe, osadzone głęboko węgliki oczu zwierzaka przewiercały mnie na wskroś. Z pyska, przypominającego przód opancerzonego wozu bojowego albo pociągu pancernego zwiisał koniuszek jęzora szykującego się do kolejnego ataku na moją twarz. Siedziałem jak skamieniały. Obrazy zmieniały się jakby w zwolnionym tempie. Kanciasty, masywny pysk pokryty zmarszczkami powoli przybliżył się do mojego ucha i dopiero kolejne młaśnięcie wyrwało mnie z letargu. Prawe ucho miałem zatkałe śliną psa. Zdezorientowany usiadłem na łóżku. Obok mnie siedział mały czworonóg. Przetarłem oczy i znów spojrzałem w stronę zwierzęcia... był

prawdziwy. Fikuśnie przekrzywił łebek i merdał krótkim ogonkiem. Wtedy do mojego pokoju wszedł rozbawiony tata.

– Widzę, że poznałeś już naszego nowego członka rodziny – powiedział, uśmiechając się szeroko.

– C...co??? – wybąkałem, zupełnie nie wierząc w to, co widzę i słyszę. Zerkalem to na tatę, to na czworonoga.

– Pomyśleliśmy, że pies jest doskonałym pomysłem, aby dotrzymać ci towarzystwa, gdy my musimy dłużej popracować. Nie będziesz czuł się taki samotny, ale będzie to też wiązało się z dodatkowymi obowiązkami dla Ciebie.

– Kolejne obowiązki?

– Nic trudnego, trzeba będzie tylko wyprowadzać Budrysa na spacer, pamiętać, żeby miał wodę w misce i karmić. No i będziesz musiał po nim sprzątać, gdy narozrabia. Z pewnością dasz radę. Załamany opadłem na poduszki i zamknąłem oczy. Nie narzekam, fajnie jest mieć psa, można do niego pogadać, będzie się przysłuchiwał temu, co mówisz, reagował na polecenia. Szkoda tylko, że nie odpowie w zrozumiałym języku. Oswajałem się z tą myślą, gdy nagle Jakiś ciężar spadł mi na klatkę piersiową i zabrakło mi tchu. Budrys siedział na koldrze, którą się przykryłem i patrzył na mnie ciekawie. Obróciłem się na brzuch, licząc na to, że szczeniak spadnie na łóżko, ale ten spryciarz tylko lekko się zachwiał i zrećnię przeniósł na moje plecy.

– Patrzcie, jaki cwaniak – pomyślałem. Zrobiłem jeszcze kilka obrotów, a czworonóg cały czas górował nade mną. Zebrałem się w sobie i szybkim ruchem jeszcze raz obróciłem się wokół swojej osi, tyle, że szybciej, mając nadzieję, że tym razem to ja wygram, poczułem jednak, jak spadam z łóżka i z łoskotem ląduję na podłodze. Budrys obserwował mnie z łóżka i przez moment wydało się, że widzę w jego oczach błysk zadowolenia. Wtedy nie byłem jeszcze świadomy, co mnie czeka, a to był dopiero początek. Kolejne tygodnie były dla mnie katorgą. Musiałem zacząć ścielić łóżko, bo gdy raz zostawiłem koldrę rzuconą byle jak, po powrocie ze szkoły zastałem ją poszarpaną i wciśniętą pod biurko. Nie nadawała się już do niczego. Innym razem znalazłem moje ulubione skarpetki w ananasy wyciągnięte gdzieś spod łóżka. Były całe mokre i podziurawione. Podobnie było z bokserkami. Od tego momentu zacząłem wieczorem wynosić brudne ubrania do łazienki, a czyste układałem równiutko na krześle. O dziwo poskładanych ładnie ciuchów Budrys nie ruszał. Również wszystkie rzeczy, które nieprzemysłanie zostały zostawione na podłodze, w szybki i niezauważalny sposób znikały. Odnajdywały się pogryzione dopiero po kilku dniach, pod jedną z komód czy łóżek. Budrys jak każdy inny, żywy pies musiał wychodzić na spacer, przez co moje popołudniowe turnieje gier komputerowych legły w gruzach. Ano musiałem wstawać przed siódmą, żeby wyprowadzić czworonoga na dwór.

Oczywiście spacer, musiał trwać przynajmniej trzydzieści minut, bo inaczej psiak nie chciał wejść do mieszkania. Musiałem też zacząć regularne wyrzucanie śmieci. Budrys, gdy tylko zobaczył, że mój kosz, choć trochę przepelnia się i wymaga wymiany, wywraçał go i rozwlekał śmieci po pokoju. Bardzo też lubił moje rysunki. Gdy spostrzegał jakiś leżący na wierzchu, jego artystyczna dusza nakazywała mu go schować, więc łapał go w pysk, i zagrzebywał w kocu, który stanowił jego posłanie.

Dziś, gdy patrzę na początki mojego życia z Budrysem, nie mogę się nadziwić jak bardzo zmieniło mnie jedno wydarzenie, które z początku wydawało się tak blahe. Teraz leżę na kanapie w swoim mieszkaniu, Budrys śpi mi w nogach, w końcu nie jest już taki młody. Wczoraj skończył dziesięć lat. Jednak jego młodzieńcza dusza nie zmieniła się i dalej koryguje wszystkie moje nieprawidłowe odruchy. Szczególnie pilnuje kosza na śmieci, długości spacerów oraz moich rysunków. Wydaje mi się, że wszystkie zwierzęta zmieniają ludzi, oddziałują na nich w pozytywny sposób i pomagają odnaleźć lepszych sobie.

I miejsce

Alicja Piechal

Gimnazjum nr 117 w Warszawie

Bójka

Wojtek Z. miał bardzo trudne dzieciństwo. obydwoje rodzice nadużywali alkoholu. W domu wciąż były awantury i bójki. Ojciec pięcioletniego Wojtka tak bardzo go pobił, że ten spędził następne cztery miesiące w szpitalu z połamanymi kończynami, miednicą i pękniętą czaszką. Okropność! Kiedy wyszedł ze szpitala, dowiedział się, że nie wróci do rodzinnego domu, bo mama odsiaduje wyrok za zabójstwo męża. Od tej chwili tułał się po różnych ośrodkach opiekuńczych, wciąż z nich uciekając, bo nie chciał się uczyć. Kiedy skończył osiemnaście lat, zaczął pracować jako pomoc w dużym gospodarstwie rolnym. Zakochał się w wzajemnością, w córce swojego pracodawcy. Po dwóch latach założył rodzinę. Doczekał się syna, o którym tak wiele marzył. Wszystko wyglądało na to, że jego życie się ułożyło i będzie szczęśliwy. Pewnego razu jakiś człowiek natrętnie zaczepiał jego żonę. Wojtek nie mógł na to pozwolić, wywiązała się bójka. Wojciech Z. nie chciał go zabić, ale ten człowiek, w wyniku bójki, zmarł. Sąd nie dał mu wiary, że nie chciał tego, że to był wypadek! Skazano go za morderstwo. Będąc w więzieniu, dowiedział się, że jego żona odeszła i zabrała syna. To właśnie wtedy zupełnie stracił nadzieję i chęć do życia. Zamknął się w sobie, przestał mówić, na nic nie reagował.

Bójka i jej dwie siostry mieszkały wśród świń. Ta rodzina niewielkich, czarnych kundelków była bita, głodzona i poniżana. Dobrzy ludzie, widząc los

tych psów, powiadomili służby. Zabrano suczki do schroniska, siostry Bójki szybko zostały zaadoptowane, ona jednak nie mogła sobie poradzić ze doznaną traumą. Była wycofana, nie reagowała na otoczenie, jednak bardzo bała się ludzi.

Pewnego dnia Wojtek i Bójka poznali się. Co to było za spotkanie! Więzień delikatnie pogładził psa, a Bójka nawet nieśmiało pomachała ogonem. Tych dwoje było podobnie ukaranych przez los, tak samo skrzywdzonych!

Tego dnia zostali wspólnie zakwalifikowani do programu dogoterapii „Pies w celi”. Od tej pory byli nierozłączną parą. Czekali na siebie, najpierw na wspólną zabawę, na pierwszy spacer po więziennym placu, potem na naukę i szkolenie. Po każdym takim spotkaniu byli sobie bliżsi i silniejsi. Wojtek ronił łzy, gdy Bójka lizała go po rękach i twarzy z radości. Wreszcie miał to, o czym zawsze marzył, ktoś cieszył się na jego widok tak bardzo, że aż skakał i radośnie skomlał. Bójka natomiast poczuła, że może być dobrze i z czułością i szacunkiem traktowana. Po wielu trudnych przeżyciach, które jej się przydarzyły, zdołała zaufać swojemu nowemu panu.

To, co ich połączyło jest wyjątkowe, niezapomniane i jedyne w swoim rodzaju. Ciężko doświadczony dusze, wzajemnie sobie zaufały, traktowały się z szacunkiem i miłością. Oby więcej skrzywdzonych ludzi i psów znajdowało się wzajemnie na tym świecie. Oby więcej takich programów jak „Pies w celi”.

I miejsce

Jan Walenta-Cała

Szkoła Podstawowa nr 203 w Warszawie

Pan Janek, pies i... pan Janek

Tak historia zaczęła się w zeszłą środę. Ale lepiej zaczniemy od początku. Był sobie raz pewien gburliwy, starszy pan, który wiodł spokojne, samotne życie. Mieszkał w małym domku na skraju miasteczka i rzadko z niego wychodził, chyba że do ogrodu, żeby przystrzyc trawnik. Jego żona zmarła kilka lat wcześniej, a dzieci wyprowadziły się do dużego miasta i rzadko go odwiedzały. Po przejściu na emeryturę przestał też spotykać się ze swoimi znajomymi; większość z nich jeszcze pracowała, albo była zajęta różnymi ważnymi sprawami. Kilka razy zapraszał ich do siebie, ale jakoś zawsze znajdowali powód, żeby mu odmówić.

Z czasem pan Janek - bo tak miał na imię mężczyzna - przyzwyczał się do samotności, właściwie nawet ją polubił. Nikt mu w niczym nie przeszkadzał, miał cały dzień na czytanie książek i gazet, albo oglądanie telewizji (nawet jeśli nie było w niej nic ciekawego). W jego spokojnym, samotnym życiu przeszkadzało mu tylko jedno: ZWIERZĘTA. Zawsze się jakiś nieproszony gość przypałał! A to gołąb zasiadał na parapecie okna w jadalni i swoim gruchaniem przerywał mu poobiednią drzemkę, a to wiewiórka zakłócała

spokój w jego ogrodzie, skacząc jak szalona po drzewach (jakby nie mogła usiedzieć spokojnie w jednym miejscu). A najgorsza ze wszystkiego była wiosna! Te okropne motyle, które furkotały skrzydłami jak najęte i psuły mężczyźnie widok na jego równo przycięty trawnik! Te mrówki, które całkowicie bez sensu biegały jak szalone tam i z powrotem, jakby myślały, że to co robią ma jakieś znaczenie! Te wszystkie muchy, pszczoły, osy i inne bzykadła, które powstały chyba tylko po to, żeby mu grać na nerwach. A tej środy, do tego wszystkiego, jeszcze ten OKROPNY, BRUDNY, BEZPAŃSKI PIES!

Wszystko zaczęło się od tego, że mężczyzna, jak zwykle w środy, wyszedł rano do pobliskiej piekarni po bułki. Lubił chodzić po pieczywo wcześniej, ponieważ wtedy nie było jeszcze innych klientów i, dzięki temu, nie musiał z nikim rozmawiać. Tak też było tym razem, oprócz małomównego sprzedawcy, w piekarni nie było nikogo. Kiedy mężczyzna wracał z pieczywem do domu, był nawet w dobrym humorze, nikogo nie spotkał, a jego spokój zmąciło jedynie rozpedzone, żółte auto, które przejechało koło niego z taką prędkością, że prawie wypuścił z ręki siatkę. A to miał być dopiero początek jego kłopotów... Sekundę później pan Janek usłyszał za sobą przeraźliwy pisk opon i skamlenie jakiegoś zwierzęcia. Odruchowo, odwrócił się. Na poboczu drogi leżał pies, w oddali mignął mu tył szybko oddalającego się żółtego samochodu.

- No nie! - mężczyzna mruknął do siebie pod nosem ale, chcąc nie chcąc, podszedł do psa.

Pies leżał spokojnie na boku, oddychał, ale jego tylna łapa była zakrwawiona.

- Ty głupi kundlu! - mężczyzna burknął do psa - Gdzie ty się pchasz? Wy zawsze pchacie się tam, gdzie nie wasze miejsce!

Pies powoli odwrócił łeb w stronę mężczyzny. Spojrzał na niego raz i zamknął oczy.

- A myślałem, że to będzie udany dzień! - westchnął ciężko pan Janek i zaczął szperać w torbie w poszukiwaniu telefonu komórkowego. Córka dała mu to cudo w prezencie, kiedy ostatnio ją widział (czyli zeszłej wiosny). Gdyby nie to, że obiecał, że nauczy się je obsługiwać, od razu wyrzuciłby to dziwactwo do kosza.

Chwilę później na miejscu wypadku było już pogotowie dla zwierząt. Młody weterynarz ostrożnie zbadał psa i szeroko uśmiechnął się do pana Janka.

- Proszę się nie martwić! Psu nic nie będzie. Jest tylko lekko poturbowany. Łapa, na szczęście, nie jest złamana. Proszę tylko psa przez najbliższe dni nie forsować. Niech raczej spędza czas z panem na kanapie.

- Ze mną na kanapie?! Czy pan oszalał?! - pan Janek zrozumiał, że ten dzień to jednak był koszmarny!

O- Po pierwsze to nie jest mój pies, po drugie, nawet gdyby to był mój pies, co oczywiście jest wykluczone, nie miałby wstępu do mojego domu. Widzi pan, ja nie lubię psów. Nie lubię kotów. Nie lubię motyli, gołębi, mrówek i wiewiórek. Nie lubię całego tego szemranego towarzysza!!! Proszę zabrać to zwierzę do najbliższego schroniska!

Niestety, na tym kłopoty pana Janka wcale się nie skończyły. Co prawda zmieszany weterynarz natychmiast zadzwonił do pobliskich schronisk, ale okazało się, że wszystkie są przepełnione i wolne miejsca znajdują się w nich najwcześniej za kilka dni. I tak, chcąc nie chcąc, pan Janek został z psem sam. Co gorsza, wszystko wskazywało na to, że pies był bezpański. Nie miał obroży, był wychudzony, brudny i nie należał do żadnego z mieszkańców miasteczka. Tego ostatniego pan Janek był pewien, ponieważ znał wszystkie te durne psy aż za dobrze, każdy z nich zdążył mu już jakoś podpaść.

Tego wieczoru mężczyzna długo nie mógł zasnąć. Myśl o tym, że jego szczęśliwe, samotne, poukładane życie może zostać zrujnowane przez BRUDNEGO, BEZPAŃSKIEGO kundla nie dawała mu spokoju. A najgorsze było to, że ten brudny, bezpański kundel spał sobie teraz smacznie, *jak gdyby nigdy nic*, w jego składziku na narzędzia! Kiedy w końcu pan Janek zasnął, było jeszcze gorzej. Śniło mu się, że po jego domu pałętają się tabuny zwierząt, począwszy od mrówek a skończywszy na hipopotamach! A potem nagle śniło mu się, że jest znowu mały i razem z kolegami biega po lesie, bawią się w Indian i budują sobie szałas. Śmieją się do rozpuku i są szczęśliwi, a wszędzie z nimi biega Astor, jego ukochany... pies.

Pan Janek obudził się zły i zmęczony. Nie myślał o Astorze od ponad pół wieku. Dostał psa kiedy miał sześć lat. Tak długo męczył rodziców, aż w końcu ulegli. Tylko musiał obiecać, że będzie o Astora dbał, chodził z nim na spacer, karmił go i bawił się z nim. I dotrzymał słowa! Wkrótce Astor stał się jego prawdziwym przyjacielem, a jego koledzy pokochali psa prawie tak bardzo jak on sam. Pies towarzyszył mu przez wiele lat, ale potem - kiedy pan Janek skończył szkołę - odszedł na zawsze. I to właśnie wtedy mężczyzna postanowił, że już nigdy, przenigdy, nie przywiąże się do żadnego zwierzęcia.

- Dość już tego - pan Janek warknął sam do siebie i wstał z łóżka. Poszedł do łazienki, ubrał się, nastawił wodę na kawę i przygotował sobie śniadanie. Dopiero potem wyszedł sprawdzić, co dzieje się w składziku na narzędzia. Kiedy uchylił drzwi, zobaczył, że woda w misce była prawie wypita a karma w drugiej misce zjedzona. Pies leżał spokojnie na kocu i patrzył w okno. Kiedy pan Janek wszedł do pomieszczenia, zwierzę odwróciło łeb i spojrzało na niego. I właśnie wtedy, pan Janek mógłby przysiąc, chociaż doskonale

wiedział, że jest to niemożliwe, pies uśmiechnął się do niego. Co ciekawe, to wcale nie było najdziwniejsze wydarzenie tego poranka. Chwilę później pan Janek podszedł do psa, przykucał obok niego, dotknął ręką jego brudnej sierści i rozplakał się...

Od feralnej środy mija dzisiaj zaledwie kilka dni, a w małym domku na skraju miasteczka mieszka już jakby zupełnie inny pan Janek. Zacznijmy od tego, że nie przegania już wiewiórek z drzew ani gołębi z parapetu. Motyle mogą bez narażenia życia latać po jego ogrodzie, mrówki budować swoje mrowiska, a różne „bzykadła” bzyzczyć bezkarnie ile dusza zapagnie. Po ogrodzie biega też często pies. Jest czysty, najedzony i wyraźnie zadowolony z życia. Nic dziwnego, w końcu sypia w nogach łóżka swojego pana! A piłkę rzuca mu teraz nie kto inny tylko pan Janek! Ale to nie wszystkie zmiany jakie tutaj zaszły. Od paru dni pana Janka zaczynają odwiedzać sąsiedzi. Czasem ktoś wpadnie na kawę, czasem tylko porozmawia przez chwilę przy furtce. Ludzie nie unikają już pana Janka, ponieważ on zaczyna się więcej uśmiechać i przestaje na wszystko narzekać. Tę nagłą zmianę wyczuwają też jego dzieci, które wczoraj rozmawiały z nim przez telefon i w przyszłym tygodniu przyjeżdżają do niego w odwiedziny.

Ale co dzieje się teraz? Przed furtką pana Janka parkuje samochód z napisem: „Schronisko dla zwierząt”. Wsiada z niego jakaś pani, przywołuje pana Janka gestem i mówi:

- Dzień dobry, w środę dostaliśmy zgłoszenie, że znajduje się tu pies oczekujący na miejsce w schronisku. Właśnie się zwolniło. Mogę psa zabrać od razu.

Chyba nie muszę wam mówić jaka jest odpowiedź mężczyzny!

II miejsce

Mateusz Plichta

Szkoła Podstawowa nr 285 w Warszawie

Przemiana

[...] 21.04.2018

Dzisiaj przyjechali jacyś ludzie. Nie wiedziałem, kim są i skąd pochodzą. Było tam dwoje dorosłych – kobieta i mężczyzna – a wraz z nimi dziecko, na oko dziesięcioletnie. Usłyszałem, że ma na imię Maciek. Chodzili w kółko oglądając inne zwierzęta, które znajdowały się w schronisku. Patrzyłem i czekałem. Nagle się zatrzymali, akurat przy mojej klatce. Spojrzeli, uśmiechnęli się. Tylko chłopiec jakoś się nie interesował. Wtem kobieta rzekła:

- Jaki on ładny!

- A jaki puszysty – odparł mężczyzna. - Co nie, Maciuś?

- Eeee, tam. Królik, jak królik. Co wy w nim widzicie? - Stęknął i znowu zaczął

grać na telefonie.

- Chciałeś mieć zwierzątko, więc masz!

- Dobra, bierzcie...

- Pamiętaj, to ŻYWE STWORZENIE, nie zabawka. Musisz się nim opiekować.

- Dobra, dobra – lekko poirytowany chłopiec odburknął i znowu zajął się grą na urządzeniu.

Po tym dialogu wiedziałem już, po co tu przyjechali. Załatwili papiery, włożyli mnie do jakiegoś czegoś (pewnie klatki) i spakowali do auta. Kiedy dojechaliśmy, dali mi jedzenie (jakieś ohydne, suche kulki) i wodę. Potem wyszli z pokoju i zostawili mnie w nim samego.

22.04.2018

Oczywiście rano mnie obudzili... Rano były kłótnie o to, kto pierwszy pójdzie do łazienki. Tak się spieszyli, że nieomal zapomnieli dać mi jedzenie. Wyszli – w końcu spokój... Zauważyłem, że klatka jest otwarta, więc postanowiłem „pozwedzać” swoje nowe lokum. Wydostałem się z terytorium – znajdowałem się naprawdę wysoko! Na dole była poduszka, na którą skoczyłem. Okazało się, że dziecko zapomniało telefonu, więc się nim „pobawiłem” (tak skończył pod szafą). Znudziło mi się, więc zasnąłem na dywanie... Wrócili, mały wbiegł szukając telefonu i mnie zobaczył. Nie zainteresował się, tylko szukał komórki. Zadzwoniła akurat, więc szybko ją znalazł, a mnie wrzucił do klatki i sobie poszedł.

23.04.2018

Rano to samo, co ostatnio. Za to tym razem zamknęli klatkę... Chodziłem w kółko, jadłem, piłem. Wtedy zacząłem przyglądać się pokojowi. Ściany były niebieskie, przy nich stały regały pełne zabawek, którymi – jak zauważyłem – Maciek już się nie bawi (ma telefon), książki (również nieużywane) i jakieś różne niepotrzebne przedmioty porzucane po całym pokoju.

Nawet nie zauważyłem, kiedy wrócili, ale chłopak wbiegł do pokoju i jak zawsze – telefon. Zirytowałem się tym razem. „**Tak nie będzie!**” - myślałem. Zacząłem hałasować, wylewać wodę i wysypywać karmę. Dzieciak tylko spojrział. Po chwili znowu wpatrywał się w ekran. Spróbowałem jeszcze raz – wstał, podszedł i zaczął mi się przyglądać. Po chwili się uśmiechnął i wziął mnie na rękę.

- Nie wiedziałem, że jesteś taki puszysty – powiedział. Po chwili odłożył mnie, zamknął klatkę. Znowu zaczął grać...

24.04.2018

Ranek, jak ranek – hałas, kłótnie. Ale Maciek już jakiś spokojniejszy. Nie krzyczy już tak jak wczoraj.

Wyszli. Ja robiłem to, co zawsze. Tylko, że chłopak sam otworzył mi klatkę. Mówił przy tym:

- Masz, pospaceruj sobie. Dziś ci coś przyniosę...

„Ciekawe, co takiego ...” - pomyślałem.

Kiedy wrócił – o dziwo nie wziął od razu telefonu do ręki. Przyniósł mi jakieś przedmioty – jakąś „miszkę z otworami”? Wsadził do klatki mówiąc:

- Tu będziesz mieszkał, to twój domek – był ucieszony, zachowywał się inaczej niż zwykle. Po chwili wyciągnął z siatki jakąś dziwną rurkę – była przezroczysta, różnokolorowa i gruba, z przegubami. „Podłączył” je do domku i powiedział:- A to jest tunel – tędy będziesz biegał. Wyciągnął drugą miszkę – tę w innym kolorze – i również „podłączył” do rurki.

Na koniec wyjął jakieś koło. Kręciło się!

- To jest twój kołowrotek. Możesz tu biegać do woli! Wyczytałem czego ci trzeba i to kupiłem – dodał po chwili.

„**ŁAŁ**” – pomyślałem. Nie wierzyłem, że to to samo dziecko – krzyzące i uzależnione od telefonu – nagle stało się spokojne i zaczęło zajmować się królikami...

25.04.2018

Tego ranka Maciek nie krzyczał już tak zwykle. Przed wyjściem przyszedł, pogłaskał mnie i dosypał karmy.

Wybiegł do szkoły. Cały czas biegałem po tunelach i w kołowrotku – swoją drogą dziwna nazwa... - co za frajda! Po jakimś czasie wrócili dorośli z synem.

- Jak tam twoje zwierzątko? - spytała mama, zaglądając do mnie.

- Mam nadzieję, że jeszcze żyje – odsapnął ze śmiechem tata.

- Żyje, żyje. Zresztą – sami zobaczcie.

Długo mi się przyglądali – stali, patrzyli i nie mogli się nadziwić. Nie obyło się bez wkładania palców rzez szpary w klatce i głaskania...

26.04.2018

Dzisiejszy dzień spędziłem... śpiąc! Obudziłem się, kiedy dziewięciolatek wbiegł do domu, krzyząc:

- **MAMAAAAAAA! SZÓSTKA Z MATMY!**

- Łał, nieźle. Z czego?

- Z kartkówki!

- Z czego...?!

- Z pierwiastków.

- No, leć, pochwal się tacie.

Z kolejnego pokoju oczywiście słychać było ten sam krzyk. Swoją drogą – ciekawe, co to ta „MATMA”? Nagle wleciał do pokoju. Zaczął grać na telefonie, ale kiedy zobaczył, że biegam w kołowrotku (a raczej usłyszał, bo się na mnie nie patrzył), podszedł i mi również pochwalił się oceną... Nawet mnie uczesał! Trochę się zmienił od momentu, kiedy się poznaliśmy!

27.04.2018

Zauważyłem dzisiaj, że zachowanie tego małego lobuza, zwanego Mackiem, bardzo się zmieniło, odkąd mnie w ogóle zauważył... Więcej czasu spędza ze mną niż na grze na telefonie i nie krzyczy już na rodziców. Opiekuje się mną – jest mi lepiej niż w schronisku. Kto by pomyślał, że taki lobuz może się zmienić na ułożonego, grzecznego chłopca za sprawą zwierzątka! [...]

II miejsce

Weronika Salinger

Szkoła Podstawowa z Oddziałami Integracyjnym nr 30 im. Powstańców 1863 r. w Warszawie

Karolek

Dawno temu, w mieście Warszawa, żył sobie pewien chłopiec. Miał na imię Karol i był bardzo, ale to bardzo niegrzeczny. Ciągnął koleżanki za włosy, psuł chłopcom piłki, prześladował młodszych uczniów i miał prawie same jedynki.

Mieszkał w domu tylko z mamą, ojca nie znał, gdyż ten, zostawił ich, gdy Karol miał roczek. Babcia Karola na stałe mieszkała w USA, nigdy jej nie widział, ale znał ją z nudnych opowieści swojej matki.

Pewnego dnia mama powiedziała:

- W tę niedzielę Twoja Babcia przyjeżdża do nas w odwiedziny, będzie u nas cały tydzień, gdyż chciała przy okazji pobytu pójść do swojego ukochanego lekarza. Przyjedzie do nas ze swoim psem Toszibą, gdyż nie ma go z kim zostawić.

Karol na tę wiadomość wzruszył tylko ramionami i sarkastycznym tonem odpowiedział:

- Fajnie. – w duchu jednak pomyślał: „I po co ta stara baba przyjedzie? Chociaż, może rzuci kilka stówek... Przyjedzie z psem... A po co jakiś kundel ma mi się plątać pomiędzy nogami, chociaż jak będzie to wilczur, to jak z takim na dwór wyjdę, to pogoni te wszystkie koty i może pogryzie tego krzykacza z drugiego piętra, będzie beka!”

Następnego dnia, którym była sobota, mama Karola ciągle coś robiła, a to zmywała naczynia, a to polerowała szklanki, myła podłogi, nawet okna. Nagle wybiegła z domu, by po chwili wrócić z karmą dla psów i z dwoma miskami.

- Po coś to kupiła? – zapytał po jej powrocie Karol.

- O niczym nie można zapomnieć, wszystko musi być perfekcyjne na przyjazd babci, a ona mogła zapomnieć tych rzeczy.

Karol wzruszył ramionami i rzekł:

- A po co to? Taki Burek z kałuży nie może się napić? A żarcie to można mu rzucić na podłogę i też zje. Porcelanę było mu jeszcze kupić... – to powiedziawszy poszedł do swojego pokoju i trzasnął drzwiami.

Mama wzięła się za odkurzanie, a Karol siedział w swoim pokoju i nawet nie kiwnął palcem, aby pomóc mamie. Siedział przy komputerze i grał w gry, oglądał filmiki, a każda prośba mamy typu: „Posprzątaj pokój”, albo „Wynieś śmieci”, zawsze kończyła się odpowiedziami: „Nie”, albo „Zaraz”.

Tak minęła cała sobota. W niedzielę, o 8.00 rano mama zerwała Karola z łóżka, kazała mu ładnie się ubrać i pojechać z nią na lotnisko, aby odebrać babcię. Karol oczywiście się sprzeciwił, w końcu ubrał się w stare, dresowe spodnie z dziurą na kolanie i w za dużą, szarą bluzę, tłumacząc się tym, że jest zimno:

- A to polar jest, nie?

Na lotnisko dojechali prawie spóźnieni, gdyż Karol po drodze musiał zatrzymać się i porozmawiać z kolegami. Babcia czekała na nich i powitała ich promiennym uśmiechem:

- Witajcie Kochani! Jak się za Wami stęskniłam! A Karolek to już duży chłopak jest! Pomóżcie mi z bagażami, taka zmęczona podróżą jestem!

Karol ani myślał Babci pomagać, wrzucił tylko ramionami, odwrócił się na pięcie i pomyślał: „Całe szczęście, że nie wzięła tego kundla ze sobą i tak z nią kłopot pewnie będzie...”

Po przyjeździe do domu babcia Ilona (bo tak miała na imię) powiedziała Karolowi, aby nasypał do miseczki troszkę karmy i nalał wody dla jej pieska. Karol spojrzął na Babcię i popukał się w czoło:

- Jakiego pieska? – powiedział głośno, a w duchu dodał „Zwariowała?!”

I wtedy babcia, ze swojego koszyczka wyjęła małego pieska.

- To ma być pies?! To szczur jakiś! Przerośnięta świnka morska! No ja się tym zajmować nie będę!

Piesek jak tylko został postawiony na podłodze, zaczął przeraźliwie szczekać. Babcia ponownie poprosiła Karola, aby zajął się pieskiem. Karol już chciał pójść do swojego pokoju, kiedy mama zagroziła mu drogę i nakazała, aby zrobił to, o co babcia go prosi. Wcale nie chciał zajmować się tym małym krzykaczem, ale nasypał mu karmy i nalał mu wody z nadzieją, że tym go uciszy. Piesek napił się wody, karmy nawet nie ruszył i pobiegł do drzwi wyjściowych.

- Trzeba wyjść z pieskiem na spacer – stwierdziła Babcia.

- No ja się z czym takim na dzielni nie pokażę! – krzyknął Karol i uciekł do swojego pokoju, jak zwykle trzaskając za sobą drzwiami. Po chwili usłyszał drapanie w drzwi, piski i skomlenie. Próbował zagłuszyć je zakładając słuchawki na uszy, jednak to nic nie dało. Piski i drapanie były nie do

zniesienia. Wstał i otworzył drzwi. Do pokoju wbiegła Tosziba skacząc na Karola, w pyszczku trzymając smycz. Trącała go noskiem, podskakiwała, łapkami odbijała się od niego. Zdziwiło go to zachowanie. Podszedł do komputera i próbował założyć słuchawki, gdy nagle na jego kolanach znalazła się Tosziba.

- No co Ty robisz?! – krzyknął Karol.

- Ona prosi Cię, abyś wyszedł z nią na dwór, ja naprawdę nie dam rady. – powiedziała stojąca w drzwiach babcia.

Karol skrzywił się, ale pomyślał, że jak wyjdzie z tym chomikiem na dwór, to może wreszcie da mu spokój. Wziął bluzę, przypiął do smyczy Toszibę i wyszedł na dwór. Przeszedł może ze dwadzieścia kroków, gdy nagle podbiegły do niego cztery dziewczynki.

- Jaki śliczny piesek!

- Skąd go masz?

- To Twój?

- Piękny mały yorczek!

- Jak się wabi?

- Tosziba, to piesek mojej babci.

- Super jest! – przekrzykiwały się dziewczynki. A Karol? Karol czuł się taki dumny, że ma takiego małego pieska. Nagle ktoś rzucił w nich piłką. Pech, że trafił w Toszibę, który zachwiał się i upadł. Karol przez chwilę stał zdumiony, Tosziba się nie ruszał. Nie wiedział, co ma teraz zrobić, wracać do domu, czy tu zostać? Zostać i stać. Czy iść? Ale dokąd? Nigdy też nie czuł, czegoś takiego, co nagle poczuł. Chciał być pomocny, chciał uratować mniejszego.

- Weterynarz!!! – głośno krzyknął Karol i delikatnie podniósł z ziemi pieska. Cała piątka szybko pobiegła w stronę kliniki weterynaryjnej. Jednak już podczas drogi Tosziba zaczął się kręcić, szczeleć i jakby wyczuł weterynarza. Lekarz zbadał pieska i powiedział, że nic mu nie jest, tylko wystraszył. Nakazał go obserwować, a w razie czego przyjść następnego dnia z wizytą. Karol po tym wydarzeniu wrócił do domu i wszystko opowiedział mamie i babci. Jednak cały czas myślał o tym, co powiedziała do niego Kasia, tak, TA ładna Kasia z Va:

- Karol, jaki Ty byłeś dzielny! Z ciebie wcale nie jest łobuz! Fajny chłopak z ciebie jest! I umiesz pomagać mniejszym!

Od tamtego dnia Karol nieco inaczej zaczął patrzeć na świat. Przestał dokucać innym, zaczął pomagać mamie, zapisał się na kółko przyrodnicze, gdyż tak pokochał Toszibę, że postanowił w przyszłości zająć się zwierzętami, a babcia... No cóż, babcia przeprowadziła się do Polski, gdyż nie chciała się rozstawać z Toszibą, a widząc jak Karol się zmienił i jak bardzo pokochał tego psiaka, chciała by takim pozostał

III miejsce

Zofia Giedz

Szkoła Podstawowa Towarzystwa Edukacyjnego Vizja w Warszawie

Amber

Od najmłodszych lat uwielbiałam wspierać chore i potrzebujące osoby. Nie potrafiłam przejść obok ludzi proszących o pomoc, jakaś siła „przyciągała” mnie do nich. Mama, widząc moje zaangażowanie, zapisała mnie do fundacji „życzliwa dłoń”, bym mogła rozmawiać z chorymi i umilać im czas obecnością. Spotkania odbywały się głównie w towarzystwie dzieci. W ich trakcie poznałam wielu niesamowitych przyjaciół.

Jednak najtrwalszą znajomość nawiązałam z Magdą, rozumiałyśmy się bez słów. Miała nowotwór, nie był on jednak dla niej przeszkodą do śmiania się i życia całą sobą. Właśnie za to ją podziwiałam. Nie była przygnębiona, smutna czy zrozpaczona swoją chorobą, wręcz przeciwnie! Nigdy nie spotkałam tak szczęśliwej osoby jak ona - cieszyła się z każdej chwili. Potrafiłyśmy rozmawiać godzinami, przez co pielęgniarki musiały przychodzić do jej pokoju i nas pospieszać.

Nasza przyjaźń zaczęła się 3 października 2014 roku. W ten dzień zawsze w szpitalu musiałyśmy robić szaloną akcję, aby zapamiętać tę datę na zawsze. W drugą rocznicę nakręciliśmy teledysk, do którego napisałyśmy słowa, zaangażowałyśmy w niego prawie cały personel i pacjentów. Bawiliśmy się niesamowicie, jednak wszystko co dobre, szybko się kończy. Magda musiała iść odpocząć, a ja mimo wielkiego zmęczenia poszłam do szkoły.

Apele zawsze były akcją znieprawdą przeze mnie, nie potrafię stać w miejscu przez 30 minut nic nie robiąc. O dziwo, to spotkanie było ciekawe – 17 grudnia w naszej placówce miał się odbyć „Wieczór cudów”. Polegał na zaproszeniu chorego dziecka, aby spełnić jego największe marzenie. Oczywiście pierwsze, co przyszło mi do głowy, to obecność Magdy i jej wymarzonego psa. Tak, jej pragnieniem był golden retriever. Uważała, że doda jej sił na walkę z nowotworem. Przez tę myśl, nawet nie zorientowałam się kiedy apel dobiegł końca. Nie zważając na dzwonek informujący o rozpoczęciu lekcji, pobiegłam do pani Dyrektor. Po zapukaniu, usłyszałam krótkie „Proszę”, po czym weszłam do gabinetu. Opowiedziałam kobiecie, o Magdzie, jej chorobie, naszej znajomości, o teledysku i o jej marzeniu. Słuchała mnie uważnie, z zainteresowaniem, a z czasem – coraz większym uśmiechem. Po skończonym monologu, spojrzałam na nią wyczekująco. Nie robiłam sobie nadziei, że się zgodzi, ale się przeliczyłam. Spytała mnie o numer telefonu mamy przyjaciółki, który od razu jej podałam. Po czym wstałam mówiąc

krótkie, ale pełne wdzięczności „Do widzenia”. Zanim wyszłam, usłyszałam tylko głos dyrektora szkoły „Połącz mnie, proszę z tym numerem”. Nie miałam już wątpliwości – Magda będzie głównym gościem na „Wieczorze Cudów”.

Po szkole pojechałam do szpitala. Chciałam się jeszcze upewnić czy miałam powód do tak wielkiej radości. Moje rozradowanie zwiększyło się znacznie, kiedy dowiedziałam się, że mama Magdy się zgodziła. Był jeden warunek, dziewczyna nie mogła się dowiedzieć o prezencie. Oczywiście obiecałam, że nic nie powiem. Myślałam, że zaraz „wyjdę z siebie”, czekałam tylko jak moja przyjaciółka, skończy swoje codzienne badanie i wróci do pokoju. Gdy tylko przyszła, uśmiechnęła się szeroko i wypowiedziała „Wiem już”, po czym mocno się do mnie przytuliła.

16 grudnia wszystko było już przygotowane: cała akcja charytatywna, aby zebrać pieniądze na leczenie Magdy. Pies został przywieziony ze schroniska „Na Paluchu”* tydzień temu i „mieszkał” u mnie do momentu przekazania go, jego przyszej właścicielce.

17 grudnia sala gimnastyczna wyglądała jak baśniowa kraina. Białe zasłony, światelka, ozdoby, krzesła, przekąski i fanty na sprzedaż. Motyw hali miał przypominać Zimową Krainę i właśnie tak było, sztuczny śnieg, płatki i gwiazdki zrobione przez drugoklasistów. O 17:30 wszystko miało się rozpocząć. Chodziliśmy w szkole jak w zegarku, aby wszystko było dopięte na ostatni guzik. Sala była już pełna rodziców i zainteresowanych loterią. Czekaliśmy tylko na Magdę, która dotarła na 17:45. Jej mama przeprosiła za spóźnienie, tłumacząc, że dziewczyna musiała skończyć badania kontrolne. Całą akcję, spędziliśmy siedząc i rozmawiając. Poznała moich przyjaciół z klasy, jak i grono pedagogiczne. Wszyscy byli dla niej mili, a ona bardzo dobrze się bawiła w naszym towarzystwie.

W końcu licytacja dobiegła końca, pieniędzy zebraliśmy naprawdę dużo. Magda i jej mama rozmawiały i dziękowały pani Dyrektor, a ja razem z dwójką znajomych „ulotniliśmy się” z hali i poszliśmy po psa. Na sali światło przygasło, a moją przyjaciółkę poproszono o wyjście na środek sali. Widać było po jej twarzy, że jest zdezorientowana i nie wie, co się dzieje. Wzięłam szczeniaka na ręce i podeszłam do dziewczyny. Jakże wielka była jej radość, kiedy zobaczyła zwierzę, spojrzała na mnie z niedowierzaniem i ze łzami szczęścia zapytała „To dla mnie?”. Pokiwałam twierdząco głową i podałam jej nowego „członka jej rodziny”. Od razu się polubili, to było widać. Magda przytuliła szczeniaka i nazwała go - Amber. Pół godziny później wszyscy się poznaliśmy i każdy wrócił do domu.

Z Magdą widywałam się jeszcze częściej, kiedy dowiedziałam się, że wygrywa walkę z rakiem. Byłam z niej dumna, Amber była trafionym

prezenterem. Każdego dnia dziewczyna była coraz bardziej silna i to dzięki psiakowi.

We wrześniu następnego roku, dziewczyna była już całkowicie zdrowa. Pokonała nowotwór, chciała żebym pomogła jej opuścić szpital. Obie śmiałyśmy się, jak i płakałyśmy na zmianę, że siebie mamy, że los splótł nasze drogi. Dziękowałyśmy, że jesteśmy razem i obiecałyśmy, że nigdy się nie rozstaniemy. Nie interesowało nas jak ludzie na nas patrzą, jak bardzo dziwnie wyglądamy tarzając się i turlając na ziemi, w tym momencie liczyła się wygrana Magdy i nasza przyjaźń. Wszystko przestało dla nas istnieć, byłyśmy tylko my, dopóki nie podbiegła do nas Amber liżąc nas po twarzach, z czego zaczęłyśmy się jeszcze bardziej weselić.

Na następny „Wieczór Cudów” dostaliśmy film od Magdy. Pokazywał on ją i Amber jak razem spędzają czas, jak obydwie cieszą się sobą. Wiedziałam, że to Amber wpłynęła na większą chęć walki dziewczyny, dopingowała ją swoim merdaniem ogona, w każdy dzień, kiedy Magda nie miała siły. Obecność pupila, od razu ją motywowała, musiała walczyć, nie mogła zostawić tych, którzy kochają ją i tych, których ona darzy uczuciem. Dzięki Amber, Magda stała się jeszcze bardziej roześmianą i pełną nadziei dziewczyną, niż dotychczas.

III miejsce

Wiktor Cichocki

Szkoła Podstawowa nr 209 w Warszawie

Sześć psów i ja

Moja mama jest petsitterem – opiekuje się zwierzętami, przede wszystkim psami. Często angażuje mnie w pomoc przy opiece nad naszymi gośćmi. Pomagam jej wtedy, rzucam patyki psom lub trzymam smycz, kiedy mama musi posprzątać po piesku. Właściciel czworonoga jedzie na wakacje, a jej i moim obowiązkiem jest, aby pies czuł się jak u siebie w domu i nie tęsknił za nim. Wychodzimy na spacer, przytulam psy wieczorem, trochę z nimi rozmawiam, pilnuję, żeby miska z wodą była zawsze pełna.

Jednak opieka na gośćmi nie odbywa się tylko w miejscu zamieszkania petsittera. Mama i jej znajoma, także petsitterka, pewnego razu zabrały mnie na weekend majowy do Cieksyna, wsi położonej około czterdzieści kilometrów od Warszawy. Było pięć psów - trzy rasy Husky i dwa nierasowe. Zapamiętałem imię tylko dwóch psów - Hasanki i Ariki. Podczas podróży pociągami wszystkie psy zachowywały się grzecznie i nawet z założonymi kagańcami nie wyglądały na niezadowolone, ale nie mogły się doczekać pobiegania na wolności. Od stacji kolejowej musieliśmy przejść jeszcze trzy kilometry. Psy ciągnęły wózek, na którym znajdowały się nasze bagaże. Na miejscu spuszczone ze smyczy pieski od razu pobiegły popływać w pobliskiej

rzece. Wieczorem rozpaliliśmy ognisko. Psy bacznie obserwowały nasze kielbaski piekące się nad ogniskiem. Miały ochotę się nimi poczęstować, zwłaszcza Hasanka. Niestety każdy z naszych podopiecznych miał swoją dietę i kielbaski nie dostał żaden z nich. Po ognisku poszliśmy spać w naszym „dwupokojowym” namiocie. Psy dotrzymywały nam towarzystwa najpierw w przedśionku, a później w okolicach zewnętrznych ścian namiotu. Aby nie uciekły i miały swobodę, były przyłączone do haka wbitego w ziemię na bardzo długich linach. W nocy było mi bardzo gorąco i nie mogłem zasnąć. Słyszałem bzykające komary i pieski, które bawiły się w obok namiotu. Nad ranem zauważyliśmy, że psy obwijały go linami. Spędziliśmy trochę czasu na ich rozplątywaniu, ale się udało. Podczas śniadania Hasanka zjadła mojej mamie kanapkę z chili i od tego momentu aż do wyjazdu z Cieksyna musiała co chwilę biegać w krzaczki. Po śniadaniu łapaliśmy żółte motyle. Psy co chwilę wskakiwały do wody. Zauważyłem, że cała piątka pilnowała nas i obserwowała czy wszyscy są. Przed wyjściem z lasu, podczas składania ekwipunku przez mamę i jej koleżankę, siedziałem w cieniu i głaskałem psy. Nie potrafiłbym samodzielnie zajmować się psem, ale zauważyłem, że przytulanie się do czworonoga sprawia mi dużo przyjemności. Podobają mi się także to jak psy ciągnęły nasz wózek. Wszystkie reagowały na komendy: „lewa”, „prawa”, „prosto”. Nie lubię wyjazdów pod namiot, jednak ten wspominam bardzo dobrze.

Chciałbym także wspomnieć o innym podopiecznym, Nero, który jest owczarkiem niemieckim. Przyjeżdża do nas pod opiekę raz na kilka miesięcy. Ma bardzo dobrą pamięć. Wie co i gdzie u nas się znajduje. Moim zadaniem jest rzucanie mu patyków podczas spacerów. Gdy jest ciepło mama pozwala mu wskakiwać do pobliskich stawów. Lubi gonić za kaczkami, gołębiami i kotami. Mama czasem przychodzi po mnie pod szkołę i mówi do Nero: „Szukaj Wiktora”. Nero, gdy tylko mnie zauważy, merda ogonem i ciągnie nas w swoje ulubione miejsca. Wieczorem, po ostatnim długim spacerze, kładzie się obok mnie i chce, aby go podrapać za uchem. Kiedy jeździmy do moich dziadków tramwajem, Nero pamięta, na którym przystanku trzeba wysiąść. Kiedyś nawet obszczekał mojego dziadka, gdy ten chciał mnie pogłaskać. Chyba bał się, że dziadek chce mi zrobić krzywdę. Ostatnio rzadziej do nas przyjeżdża i jest mi trochę smutno.

Jestem wdzięczny mojej mamie, że dzięki niej zbliżyłem się do świata zwierząt. Czuję się w ich towarzystwie spokojny i szczęśliwy. Chciałbym mieć własnego psa. Najlepiej takiego jak Nero.

III miejsce

Kornelia Leśnik

**Szkoła Podstawowa z Oddziałami Integracyjnymi nr 30 im.
Powstańców 1863 r. w Warszawie**

Buba

Piotr i Tofik, 26-letni informatyk i biszkoptowy labrador. Od czasu, kiedy rodzice chłopaka podarowali mu na urodziny uroczego szczeniaka, dwójka ta była nierozłączna. Razem spędzali ranki, popołudnia i wieczory. Razem wyjeżdżali na wakacje i wspólne weekendy na wieś. Piotr miał wielu przyjaciół oraz dziewczynę Alicję, którą poznał w pracy. Wszyscy oni kochali Tofika i przyzwyczaili się do tego, że ich kolega nigdzie nie rusza się bez swojego wiernego kompana. Pies był członkiem ich grupy. Zabierali go na spacer do parku, Tofik biegał za nimi po warszawskiej Starówce, jeździł z nimi nad wodę i był zawsze chętnie widzianym gościem w ich domach.

Przyjaźń, która łączyła Piotra ze swoim czworonogiem, była niezwykła. Rodzice chłopaka nawet nie przypuszczali, że tym urodzinowym prezentem wprowadzą w życie syna tyle szczęścia i radości.

Pewnego letniego popołudnia Piotr postanowił pobiegać z Tofikiem po parku. Psiak uwielbiał te wspólne wypady i widząc, jak jego pan wkłada sportowy strój cieszył się i merdał ogonem, nie mogąc doczekać się wyjścia. Droga do parku prowadziła przez ruchliwą ulicę. Piotr szedł pierwszy, a za nim truchtał szczęśliwy psiak. Wtedy wydarzył się wypadek. Jadący na czerwonym świetle kierowca uderzył w biegnącego czworonoga.

Pies nawet nie zapiszczał...

Następne dni po wypadku były dla Piotra najgorszymi w jego całym życiu. Cały czas płakał. Miał wyrzuty sumienia, że lepiej nie przypilnował swojego najlepszego przyjaciela. Ciągłe pytał, dlaczego stało się coś tak strasznego. Tęsknił tak bardzo, że wydawało mu się, że tego bólu nie przeżyje. Nie chciał nikogo widywać. Rodzice i przyjaciele, a nawet Alicja, nie mogli się z nim skontaktować. Nie odbierał telefonów i nie otwierał drzwi. Nawet w pracy poprosił o urlop. Przeżywał żalobę po swoim najwierniejszym kompanie, bez którego nie wyobrażał sobie życia.

Minął tydzień i Piotr wrócił do pracy. Jego przyjaciele i Alicja chcieli otoczyć go troską ale chłopak nie chciał z nimi rozmawiać. Odmawiał wszelkich spotkań. Odsunął się od wszystkich. Myślał, że nie warto kochać kogokolwiek ani do nikogo się przywiązywać, bo potem trzeba bardzo cierpieć. Interesowała go jedynie praca, po której wracał do domu i spędzał czas w samotności. Alicja tęskniła za Piotrem ale również za Tofikiem. Rozumiała więc swojego chłopaka i czekała, aż ten upora się z bólem po stracie swojego psa.

Pewnego dnia prezes korporacji, w której pracował Piotr, Alicja i ich przyjaciele, wysłał ich na szkolenie do ośrodka nad jeziorem. Po wykładach cała grupa spędzała czas razem, ale chłopak nadal nie potrafił bawić się i śmiać, więc spędzał czas samotnie. Najczęściej spacerował po okolicznych lasach i wspominał wspólne wędrówki ze swoim czworonogiem.

Podczas jednego z takich spacerów usłyszał kwilenie. Początkowo myślał, że mu się zdawało ale im dalej szedł, tym piskliwy odgłos był coraz głośniejszy. Szedł więc dalej i nagle zobaczył małego szczeniaka przywiązanego do drzewa. Był wychudzony, brudny. Leżał jakby nie miał sił stać. W Piotrze obudziły się dawne uczucia. Odwiązał biednego zwierzaka i zaniósł go do ośrodka. Postanowił zaopiekować się maleństwem dopóki nie odzyska sił, a potem oddać go do schroniska. Karmił go i poił, przytulał i mówił do niego. Dbał o pieska tak, że ten po kilku dniach wrócił do pełni sił.

Podczas kolejnych dni szkolenia przyjaciele obserwowali Piotra ze zdumieniem. Znow zaczął się uśmiechać, rozmawiał z nimi i żartował. Zmienił się z dnia na dzień. Znow był radosnym, zabawnym kolegą, którego tak bardzo lubili, i za którym tęsknili. Odmieniony chłopak przedstawił im przyczynę tej zmiany: wabił się Buba i był przeuroczym kundelkiem, który merdał ogonem na widok swojego wybawiciela.

Gdy zbliżał się dzień wyjazdu, Piotr już wiedział, że za żadne skarby nie odda Buby do schroniska. Postanowił go przygarnąć. Tak też się stało. Cała grupa, z kundelkiem na czele, wróciła do Warszawy. Znow było jak dawniej. Wybawca uwiązanego w lesie czworonoga znow zaczął cieszyć się życiem. Spędzał czas ze swoimi przyjaciółmi i znow spotykał się z Alicją, która okazała się tak cierpliwa i wyrozumiała. Wspominał nadal swojego ukochanego Tofika, ale małego Bubę pokochał równie mocno. Zrozumiał, że nie można bać się miłości, bo ona nadaje życiu sens.

Wyróżnienie

Inanna Kemp

Gimnazjum nr 117 w Warszawie

Moje szczęście

Na początku nic nie miałam. Nic oprócz Franka. Franek to mój najlepszy przyjaciel. Chociaż nie może ze mną rozmawiać, ponieważ jest psem, to bardzo mi pomógł. Właśnie dzięki niemu zawdzięczam swoje życie. Gdyby nie on, to pewnie poddałabym się. Zacznę może od początku.

Franek to mój mały buldog. Rodzice przygarnęli go ze schroniska. Dostałam go na urodziny od nich, pod warunkiem, że to ja będę się nim zajmować i właśnie tak się stało. Wyprowadzałam go kilka razy dziennie, karmiłam go i bawiłam się z nim. Wszystko jednak powoli zaczęło się zmieniać, gdy przeprowadziłam się do Wrocławia. Tam chodziłam do liceum i tam

właśnie przeżyłam najgorsze chwile swojego życia. Byłam gnębiona, poniżana, ośmieszana chociaż sama nie wiem za co. Przez to właśnie popadłam w depresję. Nie radziłam sobie ze swoimi problemami. Nic mi nie przynosiło radości w życiu. Moja jedyna przyjaciółka w nowej szkole, Ruby, zostawiła mnie, ponieważ wstydziła się mnie. Dzień w dzień wracałam z placem do domu. Nie miałam pojęcia, co mam robić. Moich rodziców praktycznie w domu nie było, ponieważ byli zajęci podróżowaniem po świecie. Byłam całkowicie sama. To znaczy nie do końca, bo miałam jeszcze Franka, który był jedyną radością w moim życiu. Pewnego dnia poszłam na co roczne badania m.in. badanie krwi. Tego dnia dowiedziałam się, że choruję na leukemię. Jest to rodzaj białaczki. Nie mogłam uwierzyć, że to wszystko przyszło do mnie tak niespodziewanie. Musiałam chodzić na transfuzję, brać dużo leków, po których wymiotowałam, ale wtedy przy mnie był Franek. Franek nauczył mnie kochać. Kładł się obok mnie w nocy, przytulał się do mnie, pocieszał mnie w tych ciężkich czasach. W pewnym momencie chciałam się poddać, rzucić to wszystko, nie widziałam sensu w moim życiu. W każdej chwili mogłam umrzeć, nikt mnie nie lubił, rodziców nawet to niezbyt obchodziło, ponieważ przyjeżdżali tylko, gdy musieli iść ze mną do lekarza. Po wielu próbach leczenia tej nieszczęsnej choroby, udało się. Po dwóch latach było już wszystko w normie. Byłam już pełnoletnia i wybierałam się na studia w Warszawie. Franek pojechał ze mną. Studia były najlepszą częścią mojego życia. Poznałam wiele wspaniałych ludzi, stworzyłam niezapomniane wspomnienia. Na ostatnim roku studiów poznałam Adama, a to się stało dzięki Frankowi. Wyprowadzałam go pewnego dnia w parku, gdy on nagle zerwał się ze smyczy i zaczął uciekać ode mnie. Biegłam za nim jak szalona, aż nagle wpadłam na pewnego chłopaka. Właśnie wtedy Franek się zatrzymał. Przeprosiłam go i się przedstawiłam. On również się przedstawił. Później zaczęłam go częściej widywać w tym parku, za każdym razem wyprowadzając Franka. Spotykaliśmy się przez bardzo długi czas, aż pewnego dnia w restauracji w trakcie naszej trzeciej rocznicy oświadczył się. Zgodziłam się. Już wtedy Franio zaczął chorować. Przestał jeść i nie chciał chodzić na spacery. Poszłam z nim do weterynarza, powiedział mi, że Franek choruje on na bardzo zaostrzony skręt żółdka. Po kilku tygodniach leczenia nie było poprawy i lekarz zasugerowała uspienie. Nie chciałam tego robić, ale również nie chciałam, żeby umierał w cierpieniu. Franek był najlepszym, co przydarzyło się w moim życiu. Wiem, że to jemu zawdzięczam swoje życie. To właśnie z nim przesłam najcięższe chwile, jak i również najlepsze. Dzięki niemu właśnie poznałam Adama i teraz jestem szczęśliwa.

Wyróżnienie Magdalena Rutkowska Szkoła Podstawowa nr 203 w Warszawie

Trasa dobrych ludzi

Wujek Michał jest lekarzem. Specjalizuje się w urologii. Dużo podróżuje. Odwiedza wiele klinik i szpitali, w których znajduje się oddział urologii, aby nieść pomoc swoim pacjentom. W zeszłym roku, jesienią, kiedy jechał z Krakowa do Legnicy, zauważył na poboczu leżącego psa. Zatrzymał się. Labrador o czarnym umaszczeniu był skulony, wychudzony i nie miał obroży. Kiedy wujek podszedł, zwierzę spojrzało na niego swoimi smutnymi, orzechowymi ślepiami, które prosiły o miłość i pomoc. Zapewne pies wiele wycierpiał, a mimo to zaufał wujkowi i pozwolił się zanieść do samochodu. Został na noc w klinice weterynaryjnej, gdzie przebadano go i wzmocniono kroplówką. Wujek próbował odszukać właściciela, ale nikt nie zgłosił się, a labrador, który dumnie wabi się Borys, uznał, że jego największym przyjacielem jest nikt inny jak właśnie wujek. I tak zaczęła się wspólna przygoda wujka lekarza i labradora Borysa- lekarza dusz.

Na oddziale wujka leżał pan Marian. Starszy, samotny człowiek. Był ciężko chory i chociaż operacja się udała, nie wykazywał chęci powrotu do zdrowia. Wujek dużo czasu poświęca swoim podopiecznym i nie tylko od strony medycznej. Posiada umiejętność patrzenia, słuchania i rozumienia chorych. Stan psychiczny pana Mariana bardzo niepokoił wujka. Zastanawiał się, jak pomóc swojemu pacjentowi. Wtedy z pomocą niespodziewanie przyszedł Borys, który wymknął się z dyżurki lekarzy i pobiegł w poszukiwaniu swego pana. Zaglądał do każdej sali chorych. W końcu znalazł wujka u pana Mariana. Kiedy wszedł do sali, pan Marian uśmiechnął się. Był to pierwszy, ciepły i szczerzy uśmiech, jaki wujek zobaczył u starszego człowieka. Borys to łagodny i przyjazny pies. Podszedł do chorego i zamierzał ogonem. Pan Marian wyciągnął rękę i pogłaskał psa. Krótka wizyta labradora odmieniła stan chorego. Zaczął wracać do zdrowia, rozmawiać i uśmiechać się. Opowiedział wujkowi, że w dzieciństwie miał podobnego psa i to wspomnienie przywróciło chęć powrotu do zdrowia. Od tego zdarzenia wujek zainteresował się dogoterapią, a historia pana Mariana i Borysa pomogła wpłynąć na dyrektora kliniki i na wykorzystanie świetlicy szpitalnej, gdzie odbywałby się zajęcia dla chorych z dogoterapii. Personel medyczny i wyspecjalizowani trenerzy ze swoimi psami, głównie labradorami, które posiadają niespotykaną zdolność zapamiętywania, odwiedzają krakowską klinikę raz w tygodniu. Psy są odpowiednio przeszkolone, posłuszne, łagodne, zdrowe, czyste, tolerancyjne i pewne siebie. Akceptują obcych, a także lubią pieszczoty i chętnie

współpracują z chorymi. Oczywiście Borys też bierze udział w zajęciach i jak wujek z dumą mówi, jest najlepszym lekarzem dogoterapeutą jego pacjentów. Psy pomagają oderwać się chorym od szpitalnej rzeczywistości, zmagać się z dyskomfortem i poczuciem samotności. Przecież psy, a w tym i Borys, akceptują ludzi bezwarunkowo. Zwierzęta bardzo szybko uzyskują zaufanie i przyjaźń uczestników zajęć. Pacjenci przytulają się do czworonogów, głaszczą, mogą też nakarmić. Starsze, zwłaszcza samotne osoby po ciężkich operacjach tworzą wyjątkową więź i relację z psami - dogoterapeutami. Wujek opowiadał mi, że to nie jest tak, że pies przyjdzie do szpitala i zrobi coś za lekarza, ale może pomóc rozładować emocje, złagodzić napięcie, a to jest dla lekarzy taki odgromnik. Dogoterapia to zastrzyk optymizmu, radość, wzruszenie i poprawa samopoczucia, co w walce z chorobą jest bezcenne. Pacjenci chętniej i szybciej zaczęli opowiadać wujkowi, a także i innym lekarzom na oddziale o swoich problemach, mówiąc później, że zmotywowała ich do tego obecność psów. Chorzy po ciężkich i skomplikowanych operacjach, mający możliwość krótkiego kontaktu z psem, wykazywali niższą fizyczną i emocjonalną reakcję na ból.

Wujek Michał jest wspaniałym, wybitnym lekarzem, ale przede wszystkim dobrym, wrażliwym człowiekiem. Potrafił przyciągnąć psa, pomimo wymagającej i absorbującej pracy. Jednocześnie dzięki Borysowi wsparł swoich pacjentów poprzez dogoterapię. Bo jak powiedział, to magia psa - towarzysza i przyjaciela człowieka - gotowego służyć mu na dobre i na złe. Tak wygląda Trasa Dobrych Ludzi na przykładzie mojego wujka oraz trenerów ze swoimi psami dogoterapeutami.

Wyróżnienie

Hanna Tkaczyk

Szkoła Podstawowa nr 48 im. Adama Próchnika w Warszawie

Szłam wąską uliczką rozglądając się nerwowo. Budynki wokół były stare i nie odnowione, podobnie jak ogrodzenia i furtki. Wreszcie znalazłam wejście do klatki w kamienicy numer 4. Były to ciemne, drewniane drzwi, zupełnie inne od szklanych z naszego osiedla. Swoim wyglądem nie zapraszały do środka. Znowu się rozejrzałam. Czy na pewno powinnam tam wchodzić? O czym będę rozmawiać z tą starszą panią? Czy mnie polubi? Czy będzie miła? Czy będziemy rozmawiać o wojnie? Jeśli będzie smutna, co mam zrobić? Jeszcze kilka dni temu bardzo chciałam wziąć udział w wolontariacie, żeby pomagać innym. Teraz jednak miałam wątpliwości. Nieważne, nie było już odwrotu. Wzięłam głęboki oddech. Myśl pozytywnie! – pokrzepiłam się i popchnęłam drzwi. Powoli weszłam na drugie piętro. Mieszkanie numer 16, to tu. Wzięłam głęboki oddech, jeden, drugi, trzeci. Spokój! Nacisnęłam klamkę i weszłam do środka.

- Dzień dobry! Jestem z wolontariatu. – przedstawiłam się. Przykucnęłam i powoli zdejmowałam buty. Ciszę przerwało radosne szczekanie i nagle jakaś mała, kudłata bestia, korzystając z mojej nieuwagi, wskoczyła mi na kolana i zaczęła lizać po twarzy. Trochę szpic trochę pekińczyk, puchaty i śliczny.

- Alek! Przestań!

Usłyszałam stanowczy, ale sympatyczny głos. Odruchowo podniosłam głowę i ujrzałam starszą panią, która uśmiechała się do mnie.

- Przepraszam za niego. Ty chyba jesteś Joanna?

- Tak. Dzień dobry.

- Świetnie. Dzień dobry! Ja jestem Barbara. Zapraszam, usiądź.

Pokój pani Barbary był niewielki, ale jasny i bardzo czysty. Usiadłyśmy. Alek od razu wskoczył na kolana swojej pani, ale cały czas mi się przyglądał, merdając wesoło ogonem. Wyglądał tak śmiesznie, że nie mogłam oderwać od niego oczu.

- Skąd ma pani Alka?

- Aaa.. zabląkał się tu i teraz jest moim jedynym towarzyszem – westchnęła pani Basia i spuściła wzrok. – Pociesz mnie.

- Nikt pani nie odwiedza? – zrobiło mi się smutno i znowu zaczęłam myśleć, że nie potrafię pocieszać samotnych osób.

- Ty mnie odwiedziłaś – uśmiechnęła się pani Basia. Wtedy Alek jednym susem znalazł się na moich kolanach. – I Alka! – pani Basia śmiała się teraz na głos i ja też zaczęłam się śmiać.

- Cóż pora wyjść z nim na spacer. Pójdziesz ze mną? – zaproponowała pani Basia.

- A może woli Pani, żebym sama z nim wyszła?

- Nie. Dzięki temu psu nie straciłam jeszcze energii do życia. Właściwie to nie mam wyjścia. Pies musi wyjść na dwór, więc i ja się muszę się ruszyć.

Ubrałyśmy się szybko. Na dworze było bardzo przyjemnie. Nie wiedziałam, że w tej okolicy jest tak zielono i ładnie. Rozmawiałyśmy z panią Basią na różne tematy, ale głównie o Alku. Poznałam wiele zabawnych historii o jego śmiesznych zwyczajach. Bawiłyśmy się też z nim. Nie wiedziałam nawet, że ta pani, która ma 84 lata ma taką świetną kondycję!

- Bardzo chciałabym mieć takiego pieska. Też dotrzymywałby mi towarzystwa i mnie pocieszał kiedy wracam smutna ze szkoły – powiedziała mi do siebie.

- Często jesteś smutna?

- Czasem, gdy ktoś mnie wkurzy, ale mama nie pozwala mi na psa. Mówi, że pies brudzi i to za dużo obowiązków.

- Cóż, możesz zawsze przyjść i wygadać się Alkowi, jeśli będziesz mieć zły dzień. Chyba bardzo cię polubił.

Spojrzałam na zegarek. Była 16:00, więc spędziłam z panią Basią już trzy godziny. Nawet nie spodziewałam się, że tak szybko minie mi ten czas. Pani Basia okazała się bardzo fajną osobą. Znała tyle zabawnych historii o swoim psie Alku. I wcale nie była smutna. Dzięki niej poznałam też Alka. A może to dzięki Alkowi, poznałam ją?

Wyróżnienie

Bartłomiej Janicki

Szkoła Podstawowa nr 12 w Warszawie

„Kto posiada kota, nie musi się obawia samotności”.

Daniel Defoe

Kiedy miałem cztery i pół roku moi rodzice wzięli z hodowli kotka. Zanim pojawił się u nas w domu, odwiedziliśmy go w jego domu, poznaliśmy jego rodziców, rodzeństwo i właścicieli. Od razu moją uwagę zwrócił bardzo ciekawski, wszędobylski, wesoły kiciuś. Byłem bardzo szczęśliwy, gdy okazało się, że to właśnie on zamieszka wkrótce z nami! Zawsze marzyłem, by mieć takiego kotka, którego bym głaskał, przytulał i bawił się z nim.

Gdy w końcu do nas przyjechał, szybko zwiedził całe mieszkanie i uwalil się na samym środku dywanu. Niczego się nie bał, wszystko go interesowało. Był bardzo ciekawski. Wówczas nie miałem jeszcze rodzeństwa i kot był dla mnie jak młodszy brat. Trochę psocił, psuł mi budowle z klocków, ale też bardzo mnie rozśmieszał i często się przytulał. Bardzo go pokochałem i cały czas się z nim bawiłem.

Nasz kotek ma na imię Galimedes (tak nazwali go hodowcy) ale ja mówię na niego Galuś albo Gali. Galuś bardzo lubi sznurki i pędzelki, więc najczęściej ja macham mu sznurkiem przed nosem, a on łapie go i gryzie. Lubi też ganiać za piłką. Ja rzucam piłkę, a on biega za nią jak szalony i o dziwo przynosi mi ją z powrotem jak pies! Często też chowa się za ścianą albo gdzieś w ubraniach i wyskakuje mi nagle prosto pod nogi! Albo lata po domu jak wariat polując na niewidzialne myszy. Uwielbia też zabawy w chowanego. Zawsze przed wyjściem z domu wszyscy latają i wołają „Gdzie jest kot?” A on siedzi po cichu w szafce kuchennej, w szafce za ubraniami, w misce z praniem czy jakimś pudle i udaje, że go nie ma. Najbardziej lubię jak późno wieczorem kiedy leżę już w łóżeczku, Galuś po cichu wskakuje mi do łóżka i kładzie się dokładnie w tej samej pozycji co ja.

Gdy kotek był już z nami pół roku, urodziła się moja młodsza siostra Ania. Wszyscy mówili, że jesteśmy szaleni i nieodpowiedzialni, bo kot na pewno zrobi krzywdę dziecku. Tymczasem nasz kot był delikatny, ostrożny i bardzo zaciekawiony nowym lokatorem. Obserwował moją młodszą siostrę cały czas z zainteresowaniem, chyba myślał, że to jakaś interaktywna zabawka.

Szybko nauczył się że dopóki jeszcze Ania nie umie chodzić, to go nie złapie, czuł się więc w miarę bezpiecznie. Robił jej też psikusy podbierając jej zabawki albo bez przerwy zajmując miejsce w jej leżaczkę, foteliku czy na macie z zabawkami. Wówczas chyba myślał, że sam jest „dzieckiem”. Kiedy moja młodsza siostra Ania nauczyła się chodzić, chodziła za kotem cały czas. Nie dawała mu spokoju nawet na sekundę. Z czasem opanowała sztukę biegania, a wtedy kot miał naprawdę pod górkę. Ania ganiała za kotem od rana do nocy, żadne zabawki nie sprawiały jej tyle radości co kot. Ten zaś był bardzo cierpliwy!!! Nigdy jej nie drapnął, nie ugryzł, schodził jej tylko z drogi i czasami udawał, że się „obraża”, a po 3 minutach znów był przy niej. Takiej cierpliwości i tolerancji nie jedna osoba mogłaby się wówczas nauczyć od naszego kota. Nawet ja jakoś mniej się złościłem na siostrę No bo skoro kot zrozumiał, że to jeszcze małe dziecko, to ja chyba też powinienem to rozumieć... Ania z resztą stawiała się coraz bardziej opiekuńcza i troskliwa w stosunku do kotka. Lubiała się z nim bawić i tylko raz w zasadzie przesadziła, gdy postanowiła pobawić się w kociego fryzjera i skróciła mu tu i tam jego długie futerko. My byliśmy bardzo źli, ale kot ... hmm... nie dość, że mruczał z radości podczas tych zabiegów to jeszcze potem w ogóle mu to nie przeszkadzało. Nasz kot chyba nie za bardzo przejmując się swoim wyglądem, jest dla siebie najpiękniejszy na świecie. Ja też uważam, że wygląd nie jest najważniejszy, tylko charakter. Galuś mógłby jeść mniej, ale czy widział ktoś kiedyś kota na diecie?

Kot skłania człowieka do wielu przemyśleń. Od ponad roku po lekcjach wracam sam do domu i spędzam długie godziny z kotem. Nie cierpię być sam, ale dzięki Galusiowi jest mi raźniej i nie czuję się samotny. On zawsze jest przy mnie, czuję jego obecność, mogę sobie z nim pogada, poopowiadać różne historie, Zazwyczaj kot siada mi wtedy na kolanach i mruczy. Wówczas zapominam o problemach, o tym co złe. Głaszczę go wtedy, przytulam i sam nie wiem kiedy, uspokajam się. Skoro naszego kota nie da się wyprowadzić z równowagi, to mnie też. Mniej się przejmuję różnymi rzeczami, nasz kot chyba niczym się bowiem nie martwi. Przystaję się też tak ze wszystkim śpieszyć, Galuś przecież nigdy się nie spieszy. Gdy odrabiam pracę domową kot kładzie mi się na biurku i „pomaga” w lekcjach i pracach dodatkowych. Zwłaszcza jest bardzo „pomocny” gdy maluję coś pędzelkami, które tak uwielbia. Największe zdziwienie jednak przeżyłem, jak w domu pojawił się chomik i pomimo wielu obiekcji, że chomik zamieni się w jedzenie dla kota, to obaj żyją w przyjaźni i lubią się nawzajem obserwować, i bawić na dywanie.

To było na tyle dziwne, że postanowiłem bardziej zainteresować się rasą ragdoll, do której należy mój kot. Dowiedziałem się że ragdolle to koty bardzo wrażliwe i spokojne, więc pewnie dlatego nie zjadł mojego chomika ani siostry. Mocno zżywiają się z opiekunem. Świetnie nadają się dla rodzin, są bardzo

towarzyskie i przyjazne. Bardzo dobrze dogadują się z innymi zwierzętami. Ragdolle to koty, które nigdy niczego nie zniszczą i nie podrapią. Mają niebieskie oczy i miłutkie futerko, zazwyczaj białe. Dowiedziałem się też, że świetnie nadają się do **felinoterapii**. Felinoterapia to kontakt z kotem, który wpływa na zdrowie fizyczne i psychiczne. Ragdolle pomagają człowiekowi się odprężyć i zrelaksować, co dobrze wpływa na samopoczucie. To po prostu terapia za pomocą kota. A ja nawet nie wiedziałem, że mamy w domu kociego terapeutę!

Gdy był Międzynarodowy Dzień Kota, nasz Galuś odwiedził zerówkę Ani. Przez godzinę leżał spokojnie na posłaniu na środku dywanu, a wszystkie dzieci go głośkały, przytulały. Choć nie wyglądał na zbyt zachwyconego, to nawet ani razu nie mruknął, ani nie drapnął. Dobrze, że pilnowali go rodzice, bo dzieci pozwalały sobie na coraz więcej, zachowywały się jakby pierwszy raz w życiu widziały kota. Wszyscy potem mówili, że to dziwne, że kota trzeba było chronić przed dziećmi, a nie odwrotnie.

Tego typu zachowania naszego kota spowodowały, że często nasi goście są w pełni zachwyceni kotem, głaszczą go i bawią się z nim, nawet więcej, niż ze mną i siostrą. Wypytują, jaka to rasa i ...kilka miesięcy później okazuje się że sami mają ragdolla, tak, jak nasi znajomi z Nowego Sącza, rodzina w Gdańsku czy znajomi moich rodziców z Warszawy. Ich synek ma zespół Aspergera i jego rodzice mówią, że kot bardzo pomaga ich synkowi się wyciszyć, uspokoić i otworzyć na kontakty z innymi. Można więc powiedzieć, że dzięki nam, trasa dobrych ludzi mających dobre koty biegnie od morza do Tatr. Z resztą nic w tym dziwnego, te koty to najlepsze zwierzęta na świecie!!! Kocham mojego kota, bo on zawsze wprowadza miłą i radosną atmosferę. Nie jestem w stanie tego opisać, ale wiem, że wszystko co dobre, to jego zasługa.

Wyróżnienie

Aleksandra Słowik

Szkoła Podstawowa nr 203 w Warszawie

Trasa dobrych koni

Obcowanie z końmi kształtuje charakter człowieka. Oczywiście ważna jest sprawność fizyczna i poziom wytrenowania, ale przede wszystkim siła charakteru i to podwójna. Chodzi nie tylko o to, żeby się nie poddawać, kiedy coś nie wychodzi. Trzeba umieć „dogadać się” z drugim stworzeniem, które nie rozumie naszych słów i czasami chce zrobić coś zupełnie innego. Hipoterapia to wyjątkowa i niezwykła forma terapii, w której rolę współterapeuty pełni żywe zwierzę – koń. Chciałabym opowiedzieć historię pięknej przyjaźni, która zaczęła się właśnie podczas zajęć hipoterapii pomiędzy małym chłopcem Mateuszem a białą klaczą Kariną. Ich wspólna droga zaczęła się dość niepodziewanie, ale trwa do dziś. Gdy Mateusz skończył rok, jego rodzice

zauważyli, że rozwija się nieprawidłowo. Po szczegółowych badaniach lekarskich okazało się, że chłopczyk cierpi na autyzm. To trudna w leczeniu choroba, której jednym z objawów jest brak zdolności okazywania uczuć oraz budowania relacji społecznych. Mateusz nie chciał mówić, bawić się, nie reagował na komunikaty. Zmartwieni rodzice rozpoczęli długą rehabilitację u różnych terapeutów. Niestety w wieku czterech lat Mateuszek nadal nie mówił. Zrozpaczona mama zaczęła szukać pomocy. W Internecie trafiła na informację o hipoterapii, czyli terapii z pomocą koni. Po zasięgnięciu wszystkich informacji zdecydowała się zapisać synka do jednego z ośrodków. Jej wybór padł na ośrodek o nazwie „Wspólna droga”. W ten sposób Mateusz poznał Karinę. Ich pierwsze spotkanie nie wyglądało obiecująco. Mateuszek nie chciał podejść do Kariny, choć klacz była bardzo spokojna i nie wykonywała żadnych gwałtownych ruchów. Karina była piękna. Miała białą sierść, szary ogon i grzywę. Cierpliwie stała i czekała, zerkając na chłopca. Dopiero po paru minutach Mateusz wyciągnął rękę i odważył się dotknąć konia. Z każdą kolejną wizytą chłopiec ośmielał się coraz bardziej. Chętniej podchodził do klaczy i z daleka wyciągał do niej rączki. W końcu nadszedł dzień, w którym odważył się usiąść na grzbiecie Kariny. Od tej pory Karina i Mateusz zaczęli się przyjaźnić. Chłopiec na każdą wizytę w ośrodku czeka z utęsknieniem. Zawsze zabiera marchewkę dla swojej przyjaciółki. Ich wspólne spotkania trwają już ponad dwa lata. W tym czasie Mateusz poczynił bardzo duże postępy. To właśnie na grzbiecie Kariny, podczas zajęć, powiedział swoje pierwsze słowo: „ma-ma”. Zaczął się lepiej komunikować z otoczeniem, dzięki temu rodzice mogli zapisać go do przedszkola. W domu sam zaprasza mamę do zabawy, przynosi jej zabawki lub książki do czytania. Mateusz z Kariną podczas każdego spotkania pokonują wspólnie „trasę dobrych koni”, tak jak setki innych chorych dzieci wraz ze swoimi końskimi przyjaciółmi. Kilkaset tysięcy dzieci w Polsce każdego dnia mierzy się z ograniczeniami fizycznymi, psychicznymi oraz społecznymi. Problemy, z jakimi się borykają, uniemożliwiają im samodzielne życie oraz dotykają mocno ich rodziny. Hipoterapia pomaga dzieciom z porażeniem mózgowym, autyzmem, zespołem Downa oraz innymi zaburzeniami ruchowymi i emocjonalnymi. Czar i moc terapeutyczna konia tkwi w jego sposobie poruszania się, charakterze i usposobieniu. Jazda na koniu to nieustanne ćwiczenia równowagi. Jeśli więc dziecko ma problemy z jej zachowaniem, siedząc na koniu może poczuć, jak zachowuje się ciało idącego człowieka. Uczy się chodzić - bez chodzenia. Pokonując nieustannie „trasę dobrych koni”, setki zwierząt - terapeutów w Polsce wraz ze swoimi chorymi przyjaciółmi na swoich grzbietach uczy, że na koniu można nie tylko podbijać świat, ale i przełamywać lęki.

Wyróżnienie Julia Krześcińska Społeczna Szkoła Podstawowa nr 10 STO

Kleksik

Moje całe życie miało początek w małej zagrodzie. Gdy po raz pierwszy otworzyłem oczka, przed moim nosem ukazał się drugi wielki nos, który, jak się okazało, należał do mojej mamy. Miałem czworo rodzeństwa: dwóch braci i dwie siostry. Oprócz mojej mamy czuwała nad nami jeszcze jedna osoba, a w sumie wtedy jeszcze nie byłem pewien, co to za istota. Była to starsza, pomarszczona na twarzy postać z przyjemnym głosem i krótko ściętymi włosami. Nazywała mnie Anton.

Pewnego słonecznego dnia, w którym dowiedziałem się, że te dziwne istoty to ludzie, przyjechało do nas właśnie kilka takich osób. Czuć było od nich piękną woń mięsa, ale byłem po zjedzeniu dwóch miseczek kurczaka z ryżem, przez co ludzie niezbyt mnie zainteresowali. Słyszałem rozmowę Pani Starszej i przybyszów.

- Ile ma pani suczek? – zapytał obcy głos.
- Dwie suczki i trzech panów – odpowiedziała karmicielka.
- Poprosimy obydwie.

Rozmowa ciągnęła się dalej, ale nie ma sensu jej opisywać, bo jedyne słowa, jakie wyłapałem i rozumiałem, to: trzeba, karmić, kurczak z ryżem. Padło tam też dziwne zdanie. „To sznaucery miniaturowe”. Jeżeli siostry to sznaucery miniaturowe, to ja muszę być „sznaucer miniaturowy”. No to ludzie zdecydujcie się: Anton, czy sznaucer miniaturowy?!

Kilka dni później zdarzyło się coś decydującego w moim życiu. Otóż, gdy zaczynało się ściemniać (a Pani Starsza zawsze wtedy zamykała bramę i mówiła „No, wreszcie siedemnasta”), zjawiła się bardzo miło wyglądająca pani. Inna niż nasza. Była o wiele radośniejsza i pachniało od niej również bardzo piękną wonią, którą trudno określić. Wydała się tak miła, że nie zważając na zmęczenie podbiegłem do niej, a mój ogon sam z siebie zaczął się merdać. Chciałem go uspokoić, aby nie wyjść na wariata, więc zacząłem go gonić. Obie panie śmiały się głośno. Byłem zachwycony tym, że udało mi się sprawić, że człowiek się uśmiechnął. Przez to nie słyszałem rozmowy pomiędzy obiema osobami. Kilka minut później Pani Starsza podniosła mnie i położyła na ręce drugiej. Czułem obojętność Pani Starszej wobec mnie. Wiedziałem, że jej faworytami są moja mama i najmłodszy brat.

Na rękach drugiej pani (Pani Młodszej) czułem się bezpieczny. Wsadziła mnie do dużej, warczącej maszyny (której do dziś nie cierpię) na tylnie, wysłane miękkim materiałem siedzenie. Nie podobało mi się tam, chciałem być z Panią

Młodszą na przednim siedzeniu! Poza tym każdy wie, że to samce alfa przewodzą stadu. A ja takim jestem. No, może trochę małym, ale jestem.

Wracając do tematu... Aby Pani Młodsza mnie zrozumiała i przesadziła, zacząłem piszczeć. Zatrzymaliśmy się, a pani wyszła z maszyny, wzięła mnie na ręce i przeniosła na przednie siedzenie, przy niej. Udało mi się.

W drodze się zdrzemnąłem, a gdy warcząca maszyna przestała warczeć, wyszedłem, oczywiście na pani rękach. Wzięła mnie do przytulnego domku. Na wejściu cicho powitał mnie pan. Był dosyć wysoki. Pan i Pani Młodsza weszli cicho po schodach do małego pokoju. W pomieszczeniu na łóżku zastałem dziewczynkę, siedzącą po turecku. Na mój widok zachwyciła się, jak nie wiem! Byłem szczęśliwy, bo odczuwałem radość, jaką jej sprawiaam. Postawiono mnie na ziemi, na mięciutkim kocyku. Pani zaczęła mnie głaskać, a dziewczynka gładziła moje futerko, jakby bała się, że zrobi mi krzywdę. Z pokoju obok wyszła kolejna pani, pachnąca podobnie do Pani Starszej, ale była o wiele przyjaźniejsza. U Pani Młodszej i u drugiej Pani Starszej wyczuwałem „rękę” do psów.

Zdrzemnąłem się u dziewczynki w nogach. Wciąż wyczuwałem u niej strach, że może zrobić mi krzywdę, więc zadaniem na jutro było przyzwyczajenie mojej dziewczynki do tego, że jestem niezniszczalny.

Rano okazało się to być trudnym zadaniem, bo pan wstał o piątej i o szóstej zamknął za sobą drzwi wejściowe, pani obudziła się o szóstej i zaczęła chodzić wte i wewte, a dziewczynka i druga Pani Starsza obudziły się o siódmej i również zeszły na dół. Nadal próbowałem pokazać swoją niezniszczalność. Mój pierwszy krok polegał na przewróceniu się, a następnie na podniesieniu się i pokazaniu, że to dla mnie nic takiego. Niestety, moje plany nigdy nie są realizowane w 100%. Gdy upadłem na zimną podłogę, moje nogi rozjechały się, utrudniając podniesienie się. Gdy udało się, minęło już kilka sekund, ale i tak na twarzy dziewczynki pojawił się uśmiech. Mój plan się powiódł. A przynajmniej pierwsza jego część.

Druga polegała -to trochę głupie- na uderzeniu się o kanapę. Kanapa okazała się być twardsza niż myślałem. Jednak i tak pokazałem swoją niezniszczalność. Po uderzeniu obróciłem się do moich ludzi i zacząłem się uśmiechać, a mój zwariowany ogon znów zaczął się kręcić. Pani Młodsza podeszła do mnie i powiedziała do dziewczynki:

- Zobacz, Juleczko, jakis dogoterapeuta nam tu rośnie. Dzisiaj rano wstałam lewą nogą, a teraz nie mogę przestać się uśmiechać.

Dziewczynka podeszła do mnie i POGŁASKAŁA MNIE jak zwykłego pieska, a nie jak porcelanowego. Zrozumiałem, że bycie dogoterapeutą – cokolwiek to znaczy – to ważna funkcja w tym domku. Postanowieniem moim było zostać tym dogoterapeutą, ale tylko dla tego domu.

Kilka tygodni później miałem pierwszą misję. Dziewczynka wróciła ze szkoły bardzo smutna. Nie zachowywałem się głupio i nie pytałem „Co się stało?” lub „Czy ktoś ci sprawił przykrość?”, tylko od razu przeszedłem do pocieszania. Julia - bo niedawno dowiedziałem się, że dziewczynka ma takie imię - położyła się na kanapie, a ja wszedłem za nią. Położyłem się na jej plecach, żeby ją trochę ogrzać, a głównie dlatego, żeby zaznaczyć swoją obecność. Później przeszedłem do twarzy dziewczynki, żeby mogła mnie przytulić i pogłaskać. Polizałem ją również po rączce, która odwdzieczyła mi się głaskaniem po uszku. Przytuliła mnie i cicho szepnęła: „Kleksik”. Bo Kleksik to moje nowe, nadane przez dziewczynkę imię. Osobiście podoba mi się ono o wiele bardziej niż Anton czy sznaucer miniaturowy. Wracając do tematu... Dziewczynka po przytuleniu mnie od razu powiedziała, że nie ma co rozpaczać i że mam rację. Byłem z siebie dumny.

Innym przykładem mojej przygody z dogoterapią jest sąsiad (bo tak to się nazywa) drugiej Pani Starszej, który znalazł we mnie przyjaciela. Przyjechałem ze wszystkimi ludźmi z domku do innego domu. Różnił się tylko większym ogrodem i tym, że nie mogłem wejść po drewniakach, poustawianych w schodki. Obok tego domku stał drugi. Nasz dom należał do drugiej Pani Starszej, a sąsiedni do Pana Starszego. Okazało się, że ten Pan Starszy jest bardzo miły, ale czułem, że ma zmartwienie. Jedno, ale ogromne. Czułem od niego bardzo starą woń psa, chyba kundelka. Jednak ta woń już prawie wygasła. Domyślając się losów kundelka, biegałem za tym panem, gdy przychodził do Pani Starszej, bawiłem się z nim, a mój śmieszny ogon znów zaczął się machać. Po spotkaniach ze mną czuć było od tego pana radość i szczęście z życia.

Zmieniłem na lepsze również życie drugiej Pani Starszej. Gdy wychodziła ze mną na spacer, wydawała się być najszcześliwsza na świecie. Gdy bolała ją głowa i kładła się do łóżka, kładłem się przy niej i lizałem ją po rękach, więc jej humor oraz samopoczucie poprawiały się. Nie mogłem posiąść się z radości, że pocieszam ludzi, jednocześnie pełniąc ważną i odpowiedzialną dla psa funkcję.

Cieszę się, że trafiłem do tak miłego domku, a co ważniejsze, do tak fajnej rodzinki. Nieważne, gdzie jesteśmy, ważne, żebyśmy byli tam razem. To znaczy moi ludzie, ja i mój merdający ogonek!

Jasmina Idsardi
Gimnazjum nr 117 w Warszawie

Budyń

Właśnie zabrzmiał ostatni dzwonek i wszyscy wybiegli ze szkoły. Wszyscy, z wyjątkiem Zosi. Dziewczyna odczekała, aż ostatnia osoba zniknie jej z pola widzenia i dopiero wtedy zaczęła się powoli kierować w stronę szatni.

Nie chciała, by znajomi z klasy patrzyli na nią, kiedy z trudem stawia kolejne kroki. Zosia była kiedyś mistrzynią Polski w biegach na 1000 i 2000 metrów w swojej kategorii wiekowej. Teraz jednak, po wypadku jakiemu uległa, o bieganiu mogła tylko marzyć. Cały swój wolny czas spędzała na rehabilitacji i rozmyślaniu o tym, kiedy znowu będzie mogła wystartować w jakimś biegu.

Zosia mieszka niedaleko szkoły, więc wracała z niej pieszo. Jej bliscy zachęcali ją do tego, by ruszać się jak najwięcej. Miało to podobno pomóc w jej rehabilitacji i szybszym powrocie do formy. Dzisiejszego dnia, jak zwykle pokonując tę samą trasę, zobaczyła na trawniku obok chodnika którym szła, leżącego psa. Był to labrador retriever. Trochę zdziwił ją ten widok, więc podeszła bliżej. Gdy stanęła obok psa, zauważyła, że jest on bardzo chudy, wręcz wygłodzony. Widząc, w jakim stanie jest zwierzak, postanowiła zabrać go do domu i nakarmić. Będąc z rodzicami w domu, wspólnie podjęli decyzję, że zatrzymają psa. Miało to być na zawsze, o ile ktoś się po niego nie zgłosi.

Kiedy po dwóch tygodniach nikt się nie zgłosił po labradora, Zosia zaczęła się powoli przyzwyczajać do myśli, że pies zostanie z jej rodziną. Nadszedł czas, aby nazwać psa. Zosia dała mu na imię Budyń. Po zaledwie miesiącu, dziewczyna tak się z nim zżyła, że za nic nie chciała się z nim rozstawać. Za którymś razem z kolei, udało jej się nawet nakłonić swoją mamę, by ta pozwoliła jej nowemu psu pójść na rehabilitację razem z nią.

Kiedy dotarła na miejsce, pracownicy nie byli zachwyceni tym, że Zosia wzięła ze sobą psa. Po krótkich negocjacjach z pracownikami pozwolono, by również Budyń wszedł na salę. Pies jednak zniknął, jak tylko Zosia zaczęła wykonywać swoje ćwiczenia. Dziewczyna nie przejęła się tym, wystarczyło jej, że wie, że pies znajduje się gdzieś w budynku. Po zakończeniu wizyty, pies nadal nie wrócił, więc Zosia trochę zdziwiona jego zachowaniem, zaczęła go szukać. Znalazła go po drugiej stronie budynku, gdzie odbywały się terapie dla dzieci z autyzmem. Kiedy Zosia zobaczyła swojego psa przy obcej dziewczynce, bardzo się wystraszyła. Widząc jednak uśmiech na twarzy dziecka, uspokoiła się. Okazało się, że obecność jej Budynia ma doskonały wpływ na dzieci. Gdy zbliżyła się, aby lepiej się przyjrzeć sytuacji, która miała miejsce z udziałem jej psa, podeszła do niej terapeutka. Zasypała ją ona pytaniami o labradora. Dowiedziawszy się, że Zosia przygarnęła psa niedawno, kobieta dała jej do zrozumienia, że jest on psem wyszkolonym do dogoterapii. Zosia przez moment wystraszyła się, że ktoś będzie próbował odebrać jej Budynia, ale odrzuciła od siebie tę myśl. Pamiętała, jak przebywanie z jej pupilem cieszyło dziewczynkę. Zosia postanowiła przyprowadzać go tu codziennie, aby mógł pomagać innym.

W ten sposób Budyń stał się stałym *pracownikiem* kliniki. Swój wpływ poprzez dogoterapię miał jednak nie tylko na dzieci z autyzmem, był

wsparciem oraz przyjacielem również dla Zosi i jej rodziny, stał się jej nowym członkiem. To Budyń pomógł Zosi przebrnąć przez wszystkie trudne momenty w jej życiu. Był z nią w trakcie długotrwałej rehabilitacji, gdy wracała do formy i znowu zaczęła biegać. Gdy patrzyła na psa, łatwiej wytrzymywała ból, dzięki niemu robiła postępy w niezwykle szybkim tempie. Budyń też przywiązał się do Zosi. Dwa miesiące po tym, jak zaczęła znowu biegać, on zaczął biegać razem z nią, obydwójce wzajemnie się motywowali, a i ich kondycja była coraz lepsza. Dzięki Budyniowi Zosia bardzo się zmieniła również w stosunku do rówieśników i łatwiej nawiązywała znajomości, a nawet przyjaźnie. Stała się spokojniejsza, cierplivsza, a przede wszystkim bardziej radosna. Ten pies całkiem odmienił jej życie.

Maria Lubas

Szkoła Podstawowa nr 48 im. Adama Próchnika w Warszawie

Zacznijmy może od tego, że właściwie nigdy za bardzo nie przepadałam za zwierzętami. To nie było tak, że jakoś bardzo ich nienawidziłam, po prostu nigdy nie pragnęłam mieć żadnego pupila, w przeciwieństwie do mojej siedmioletniej siostry Basi. Basia błagała rodziców o wszelkiej maści zwierzęta odkąd skończyła trzy latka i poszła do przedszkola gdzie prawie wszystkie koleżanki miały własnego pupila.

Na początku siostra chciała posiadać oczywiście psa ewentualnie kota. Rodzice jednak kategorycznie odmawiali posiadania któregośkolwiek z nich, ponieważ jak tłumaczyli zrozpaczonej siedmioletce tak duże zwierzę jak pies nie może mieszkać w mieszkaniu a na koty Natalia (ja) ma uczulenie. Basia zaczęła więc szukać innej alternatywy. Alternatywą okazał się chomik. Na początku byłam przekonana, że rodzice ponownie jej odmówią, jednak po około roku usilnych starań rodzice wreszcie ulegli. Ja właściwie odnosiłam się do tego dość obojętnie, a jedyna rzecz, która mnie w tej całej sprawie niepokoiła było to, że chomik szybko się Basi znudzi i w efekcie to ja będę się musiała tym zwierzęciem zajmować, a na to akurat serdecznie nie miałam ochoty.

Pewnego letniego dnia pojechaliśmy więc do sklepu zoologicznego. Z początku Basia patrzyła tylko i wyłącznie na chomiki, jednak po jakiś dziesięciu minutach podchodzi do nas ekspedientka i pokazuje różne inne zwierzęta. W końcu rodzice wraz z Basią decydują się na zakup szczura. Zaletą tego zwierzęcia podobno ma być to, że jest bezproblemowy i bardzo łatwo da się go oswoić, jednak jeżeli chcecie znać moje zdanie to jedyne co taki szczur naprawdę dobrze potrafi to hałasować w nocy. Założę się, że gdyby odbywał się konkurs na najbardziej hałasujące zwierzę w okolicy Mia (tak nazwała szczura moja siostra - głupio co nie?) z pewnością zajęłaby pierwsze miejsce i to ze sporą przewagą na innymi. Ja po prostu nie rozumiem tego jak można

w ogóle takiego zwierzaka lubić. Chomika jeszcze jakoś dałabym radę znieść, ale szczura fuj!! Niestety jestem chyba jedyną osobą w rodzinie która tak uważa bo i mama i tata są tą całą Mią po prostu oczarowani nie wspominając już o Basi

Z biegiem czasu ja również przyzwyczaiałam się do obecności szczura w naszym domu. Teraz uważam, że szczury to na swój sposób całkiem miłe stworzenia, a do tego są niezwykle inteligentne przez co naprawdę da się je polubić i chociaż dość daleko mi do zachwytu nad nimi sporo mi brakuje. Uważam, że człowiek może się od zwierząt naprawdę wiele nauczyć między innymi oddania i bezinteresowności. Ponadto posiadanie pupila wymaga odpowiedzialności i troskliwości, a to cechy, które nie wszystkim przychodzą łatwo. Najlepszym tego przykładem jest moja młodsza siostra. Przed zakupem Mii Basia często zapominała o swoich obowiązkach takich jak na przykład ścielenie łóżka, dlatego też wszyscy myśleliśmy, że o szczura dbać będzie raczej niechętnie i z konieczności, jednak Basia wbrew naszym obawom pilnuje by Mii nigdy nie brakowało jedzenia ani picia, regularnie opróżnia też kuwetę, i co najważniejsze właściwie każdą wolną chwilę poświęca zwierzęciu.

Ja chciałabym wszystkim osobom, które nie wiedzą jakie zwierzę wybrać gorąco polecić szczura, ponieważ mimo iż ich uroda z początku budzi strach i niechęć to zwierzaki te naprawdę przywiązują się do właściciela i są raczej łagodne a ponadto niezwykle mądre.

Hanna Kiliś

Szkoła Podstawowa nr 48 im. Adama Próchnika w Warszawie

Demony przeszłości.

Pewnego deszczowego poranka, w Krakowie, przy ulicy Kasztanowej, wyszła ze swojego domu Marianna Tomaszek. Była to starsza, niska pani o siwych, krótkich i kręconych włosach, dużych ustach i małych stópkach.

Pani Marianna była zawsze, ale to zawsze smutna, ponieważ nie miała przyjaciół, męża czy dzieci. Starsza kobieta urodziła się w 1925 roku i walczyła w drugiej wojnie światowej. Była sanitariuszką i opatrywała rannych w szpitalu polowym. W swoim młodym życiu spotkało ją wiele nieprzyjemności.

Ale wróćmy do czasów współczesnych. Nasza główna bohaterka właśnie wychodziła do pracy. Już dawno była na emeryturze, ale nudziła się w domu i wołała spędzać swój czas w biurze. Właśnie tego deszczowego poranka, nagle... z zza krzaka wyskoczył... mały szaro-brązowy kundelek. Na jego szyi widniała kartka, na której można było przeczytać: „Nazywam się Lucek, pochodzę z Torunia i szukam nowego, ciepłego, miłego domu. Jeżeli to nie problem, zabierz mnie ze sobą”.

Marianna rozejrzała się, czy nikogo nie było w pobliżu. Piesek ciągle wlepił w nią swoje czarne oczka. „Weźmie mnie czy nie?” - można było wyczytać z jego minki. Starsza pani miała dylemat, ale po krótkim namyśle zabrała pieska ze sobą.

W pracy, już przy samym wejściu, każdy śmiał się pod nosem. Padaly też złośliwe komentarze: „Co, pieska na stare lata się zachciało?” albo „nie masz co innego do roboty, tylko schronisko tu zakładać?”. Nawet sam szef zdenerwował się i wyrzucił ją za drzwi mówiąc: „Dzisiaj już nie wracaj do pracy, a jutro przyjdź bez psa”.

- Nie martw się Lucek... - odparła Marianna.- Teraz pójdziemy do sklepu, kupię ci karmę, miski i jakąś zabawkę - powiedziała.

Po zrobieniu zakupów oboje pojechali do domu metrem, a tam pewien mężczyzna burknął:

- Niech pani zabierze stąd tego kundla! - krzyknął. - Nie chcę dostać jakiejś wścieklizny! - dodał oburzony i odszedł.

W domu Marianna zorganizowała miejsce do spania, jedzenia i zabawę dla pieska. Wieczorem, kiedy była już zmęczona, kundelek przyturlał gumową piłeczkę pod nogi pani i dał do zrozumienia, że chce się pobawić.

- Hop! Łap piłeczkę. No, łap piłeczkę! - i wtedy, mimo zmęczenia, na twarzy starszej kobiety pojawił się uśmiech.

Minął już rok, a Marianna i Lucek zaprzyjaźnili się tak bardzo, że cała Polska dowiedziała się o ich wzruszającej historii. Zapraszano Mariannę do wszystkich ogólnopolskich programów publicystycznych i opisano jej historię w wielu gazetach. Oto wywiad, który pojawił się w kwietniowym numerze „Faktów”:

- Czy chciała pani mieć psa w dzieciństwie, czy to przypadek, że dostała go pani właśnie teraz, w podeszłym wieku? - zapytała reporterka Malina Jorda.

- Jak każdy chciałam mieć psa, ale nie mogłam. Była wojna, potem ledwo znalazłam pracę. Teraz żyję ze skromnej emerytury i jakoś utrzymuję siebie i psa. Żyjemy skromnie, ale nie pieniądze są tu ważne, najważniejsza jest nasza przyjaźń- odpowiedziała Marianna.

- Hau!!! - dodał Lucek.

- A może nam pani opowiedzieć coś o swoim dzieciństwie?

- W czasach mojego dzieciństwa była wojna i niestety na niej zginęli wszyscy moi znajomi. Przepraszam...- I wtedy kobieta rozplakała się i wybiegła ze studia, a piesek za nią.

- I to cały nasz reportaż ... - powiedziała Malina i zakończyła audycję.

Wieczorem w domu starsza pani wraz z psem oglądała stare albumy z wojny. „Całe szczęście, to wszystko jest już za mną” powiedziała Marianna, gładząc zmęczonymi dłońmi zdjęcia. „Nie mogę w to uwierzyć, że mam już

dziewięćdziesiąt trzy lata i nadal doznaję szczęścia”. I w tym momencie wymownie popatrzyła na swojego psa. Uśmiechnęła się.

- Hau! - odszczeknął Lucek.

No i tak kończy się historia dwojga naszych bohaterów. Ze smutnej, samotnej, zgorzkniałej starszej pani Mariana zmieniła się w zawsze uśmiechniętą staruszkę, a bezdomny piesek został najszczęśliwszym kundelkiem na świecie.

Julian Teodorowicz

Szkoła Podstawowa nr 48 im. Adama Próchnika w Warszawie

Tak! W końcu mam psa...! Oj, przepraszam, tak się podekscytowałam, że zapomniałam się przedstawić. Nazywam się Agnieszka Starzyńska. Namawiałam rodziców od pół roku, żeby kupili mi psa. No wiec, jak widzicie, piesek jest w końcu mój!

- Jak go nazwiesz? - zapytała mama. Tata podsunął pomysł:

- Nazwij go Okruszek - powiedział.

- Dobre imię! - wykrzyknęłam. - Słyszałeś? Od teraz nazywasz się Okruszek!

Wzięłam psa na ręce i poszłam z nim do swojego pokoju. Okruszek miał rudą sierść w białe łaty, czarny ogonek i brązowe figlarne oczka.

Odkąd pamiętam, byłam chorowitą dziewczynką. Często długie tygodnie spędzałam w domu. Nie miałam koleżanek, ponieważ zanim zdążyłam się z kimś zaprzyjaźnić, znów łapałam infekcję i ładowałam w łóżku. Okruszek zmienił całe moje życie. Podczas choroby w jego obecności nie czułam się już taka samotna, piesek przychodził i kładł pysk na moim ręku, a czasami lizał miękkim języczkiem. Merdał wesoło ogonkiem i patrzył na mnie rozradowanymi oczami, jakby mówił, że wszystko będzie dobrze. Dzięki niemu też stawałam się coraz weselsza, czułam się potrzebna, a Okruszek mnie uwielbiał. Cekał, aż wrócę ze szkoły, aż pójdziemy razem na spacer i będziemy się wspólnie bawić w parku.

Wiecie, co się stało? W niedługim czasie nabrałam odporności, to chyba te zabawy i spacerunki tak mnie zahartowały, że chorowałam coraz rzadziej! Zaprzyjaźniłam się też z Hanią i Adą ze swojej klasy - Ada też miała psa, nazywał się Gucio. Często razem z nimi bawiłam się w parku, razem też wyprowadzałyśmy nasze pupile. Z czasem zaczęłyśmy wzajemnie się odwiedzać. Lubiliśmy razem spędzać czas i wychodzić na długie spacerunki, ba - nawet nasze psy się zaprzyjaźniły i urządziły gonitwy po parku!

Czasem tak niewiele potrzeba, aby tak bardzo zmienić czyjeś życie!

Natalia Dąbrowska

Szkoła Podstawowa nr 48 im. Adama Próchnika w Warszawie

Ta historia wydarzyła się naprawdę.

Moja mama ma wujka, któremu wydarzyło się nieszczęście. Zmarł mu ukochany syn Karol. Wujek był smutny i rozpaczał. Nie wiedział, co zrobić ze swoim życiem. Pewnego dnia zobaczył na ulicy człowieka, który się cieszył i miał psa.

Przypomniało mu się, że Karol zawsze chciał mieć psa. Wujek poszedł więc do schroniska, żeby przygarnąć jakiegoś pieska. Wybrał dalmatyńczyka, dlatego że jego ulubionym kolorem był czarny, a jego żony - biały.

Potem poszedł do sklepu kupić karmę dla psa, smycz i obrozę. Psina musiała dostać też jakieś imię. Nazwał ją Aza.

Ciocia początkowo nie była zadowolona z nowego domownika. Dzięki Azie wujek musiał jednak codziennie chodzić na spacer. Miał nowy cel w życiu. Ciocia z czasem również polubiła zwierzaka, bo był mądry i szybko biegał. Aza powoli stawała się członkiem rodziny.

Wiosną Aza zachorowała i wujek zaprowadził ją do weterynarza. Doktor powiedział wujkowi, że Aza ma kleszcza i przez niego jest bardzo chora. Wujek się martwił i wpadł w depresję. Aza szczekała i lizała go po twarzy, jakby chciała go pocieszyć. Aż wujek powiedział, że ciocia się załamie, jeśli po raz kolejny stracą najbliższą istotę.

Aza musiała zostać w psiej klinice. Po kilku dniach wujek się uradował, bo dostał list, w którym było napisane: „Aza jest już wyleczona, może wracać do domu. Doktor Janusz”.

Minęło kilka lat. Pewnego dnia, gdy wujek pracował przy komputerze, przyszła Aza i szczekała, a wujek nie reagował. Dlatego też zaczęła ciągnąć go za spodnie, aż wreszcie wujek zobaczył, że w drugim pokoju się pali. Aza uratowała życie wujka!

Od tego zdarzenia minęło już bardzo dużo czasu, a Aza już nie żyje. Wujek jednak nadal przebywa ze zwierzętami - teraz ma już trzy psy (jednego z nich bardzo się boję!).

Roksana Oczkowska

Szkoła Podstawowa nr 285 w Warszawie

Terapeutyczny wpływ zwierząt na człowieka

Zwierzęta mają na nas – ludzi – bardzo duży wpływ. Dzięki naszym zwierzęcom przyjaćiom już od najmłodszych lat możemy uczyć się odpowiedzialności, troski o innych i opiekuńczości. Uczą nas one również odnajdywać w sobie wrażliwość, której tak często brakuje niektórym

dorosłym. Ponad to w 1883 roku przeprowadzono badania, które wykazały, że obcowanie ze zwierzętami obniża tętno i ciśnienie krwi u ludzi.

Z uwagi na terapeutyczny wpływ zwierząt na człowieka, zaczęto stosować tzw. animaloterapie.

Tu należy przede wszystkim wspomnieć o dogoterapii. Jest to spotkanie terapeutyczne ze specjalnie wyszkolonymi psami. Nasz czworonóg odgrywa rolę motywacyjną, na przykład przy rehabilitacji. Polega ona na przełamywaniu strachu przed pieszczołami, eliminacji agresji i autoagresji, bo kto chciałby zrobić krzywdę takiemu słodziakowi? Równie pomocna może się stać w przypadku uczucia odrzucenia przez innych albo niskiej samooceny, ponieważ taki pies akceptuje cię, nieważne czy masz taki, a nie inny kolor skóry, taką, a nie inną orientację seksualną, kraj pochodzenia itd. Poprzez kontakt z psem, u dziecka można również zaobserwować rozwój mowy, zmysłów i funkcji poznawczych.

Inną terapią ze zwierzętami jest felinoterapia. Za terapeutów, w tym przypadku, uważane są koty. Polega na tym samym co dogoterapia, ale jest przeznaczona w szczególności dla alergików lub osób bardzo bojących się kontaktu z psami.

Jest dużo rodzajów terapii z zastosowaniem „zwierzęcych metod”, ale zdecydowanie warto wspomnieć również o hipoterapii. Jest to terapia psychoruchowa, w której uczestniczą konie. Zazwyczaj stosują ją osoby chore na zespół Downa, ADHD, mózgowie porażenie albo różnego typu niedowład.

Czasami, niestety, ludzie zachowują się gorzej niż zwierzęta (nie obrażając zwierząt). Gdybyśmy nie traktowali siebie –ludzi- wyżej od zwierząt, moglibyśmy się od nich wiele nauczyć, mogłyby nam pokazać, jak być tolerancyjnym, uczciwym oraz jak szanować siebie nawzajem. Zwierzęta odgrywają w naszym życiu rolę psychologów i nie robią tego za pieniądze, lecz odwzajemnienie miłości, przyjaźni, okazywanie uczuć oraz dach nad głową i pełną miseczkę. Są bezinteresowne i oczekują od nas tego samego, ale nie każdy to niestety rozumie.

Allison Saffell

Szkoła Podstawowa Towarzystwa Edukacyjnego Vizja w Warszawie

Zwierzęta są niesamowite

Kilka tysięcy lat temu ludzie oswoili pewne zwierzę – wilka. Dziś my znamy go, jako naszego domowego psa. Wiele się zmieniło w nich przez ten czas, od wyglądu, aż po charakter. A więc jest pytanie, czy one w nas coś zmieniły?

Po pierwsze, najlepiej było by pokazać, czym ludzie się różnią od zwierząt. Mamy wiele podobieństw: zaliczamy się do grupy ssaków, widzimy

świat w trzech wymiarach, umiemy pokazywać emocje. A więc jakie są różnice? My w przeciwieństwie do nich zmieniamy nasze środowisko, aby się dostosować do życia w nim, a one zmieniają siebie.

Zwierzęta mają bardzo dobry wpływ na ludzi. Dzieci uczą się od zwierząt odpowiedzialności i empatii. Rozumieją, że one również mają uczucia. Zwierzęta rosną razem z nimi, a dzieci uczą się na podstawie kontaktu ze zwierzętami cyklu życia. Kiedy nasz pierwszy zwierzak odchodzi płaczemy i wydaje nam się, że nie spędziliśmy z nim tego czasu w dobry sposób, oraz, że mogliśmy temu zapobiec. W sercu wiemy, że to kłamstwo. Nigdy go nie zapomnimy, ponieważ był częścią naszej rodziny, jak brat czy siostra. Dla dzieci jest on jak rodzeństwo. Dla dorosłych zwierzę jest zazwyczaj przyjacielem, który cieszy się z jego powrotu do domu, o którego można dbać jak o drugiego człowieka. Dla starszych ludzi kontakt ze zwierzętami jest również bardzo ważny. Dzięki nim mają lojalnego kompana, z którym zawsze mogą spędzić czas.

Zwierzęta bardzo często pomagają w terapiach. W dziecięcych szpitalach psy są często wykorzystywane, jako sposób na przekierowanie uwagi na przyjemniejszy temat niż choroba. W domach starców również pojawiają się coraz częściej zwierzęta, między innymi kury. Osoby starsze mają możliwość dbania o nie a samo przebywanie w towarzystwie zwierzęcia powoduje ich lepsze samopoczucie. Konie z kolei są wykorzystywane w hipoterapii. Wybierane są te, które nie podskubują oraz nie są agresywne. Koty pomagają w komunikacji u ludzi z różnymi zaburzeniami.

Badania prowadzone przez wrocławskich badaczy dowiodły, że posiadanie psa zmniejsza poziom stresu i powoduje uczucie bycia potrzebnym w życiu. Przebadano osoby, które miały kontakt ze zwierzętami - posiadając jedno lub po prostu dokarmiając bezpańskie koty – oraz te, które zwierzęcia nie posiadały. Wyniki pokazały, że te osoby, które miały kontakt z żyjątkami miały większe poczucie własnej wartości i nie czuły się opuszczone, a te, które nie lubią zwierząt, albo się ich boją, czuły się bardziej osamotnione.

A więc podsumowując, zwierzęta mają pozytywny wpływ na ludzi. Poprawiają nam nastrój, uczą nas, że nie każdy żyje tak samo długo, uczą odpowiedzialności oraz empatii, zrozumienia drugiej istoty. Po prostu niesamowite!

Dominika Pikur

Szkoła Podstawowa nr 365 w Warszawie

Mówi się, że ludzie się nie zmieniają. Ja jednak myślę, że pod wpływem niektórych sytuacji mogą stać się kimś zupełnie innym. Aby to udowodnić, opowiem wam historię.

Jak Carli zmienił człowieka

Był słoneczny, dosyć ciepły jak na listopad dzień, a dokładnie urodziny mojego ukochanego taty. Zawsze uważałam, że jest najlepszym i najprzystojniejszym mężczyzną na świecie. Nigdy nie był zbyt wysoki lub umięśniony. Ma czarne, proste włosy, brodę i duże, niebieskie oczy. Co do charakteru to jest miły, kulturalny i uprzejmy, a także pomocny i wrażliwy. Jak każdy ma wady, lecz dla mnie miał jedną główną: zwierzęta traktował jak rzeczy, uważał że z łatwością można je wymienić, że są od pilnowania podwórka. Ja przeciwnie, już od malutkiego kochałam naturę, żyjątko te mniejsze i te większe, a nawet przedmioty codziennego użytku traktowałam jak istoty żywe. Odkąd pamiętam marzyłam o posiadaniu czworonożnego przyjaciela. Niestety przez astmę, alergię, traumę związaną z atakiem i co najważniejsze sprzeciw rodziców, a szczególnie mojego ojca, nie udało mi się tego zrealizować.

Kilkanaście tygodni wcześniej postanowiłam, że skoro jestem dorosła to mogę spełnić mój dziecięcy cel. Na początek zaczęłam wyprowadzać psy z pobliskiego schroniska. zaprzyjaźniłam się z tamtejszym szczeniakiem. Nazywa się Carlos, lecz wszyscy mówią na niego Carli lub Misio ze względu na jego wygląd. Jest czarny w białe plamki. Ma nawet białe łapki zwane skarpetkami, a także krótki ogonek, stojące, małe uszka, czarny nosek i duże oczka. Jest śliczny.

Tydzień temu przyprowadziłam go do domu, od razu się zaaklimatyzował. Ma teraz już własny kącik, miseczki, zabawki i wszystko inne co jest mu potrzebne. Z okazji święta taty, mimo obaw zadecydowałam, że zapoznam ich z Carlos-em. Zestresowana zapukałam do drzwi. Otworzyła je mama. Carli od razu skoczył na kobietę merdając ogonkiem i oblizując ją, która odskoczyła przerażona.

Cześć mamusiu – powiedziałam próbując przytulić lekko roztrzęsioną rodzicielkę

- Co to jest?! – krzyknęła

- Nie co tylko kto – natychmiastowo poprawiłam z wyrzutem i po chwili odpowiedziałam

- To mój nowy przyjaciel, nazywa się Carlos.

Po chwili usłyszałam kroki tatusia idącego w moim kierunku. Z łatwością przywiązałam psa do barierki prowadzące na taras, minęłam wciąż osłupiałą matkę i rzuciłam się na tatę. Przywitałam się z nim, przytulił, złożyłam życzenia i obdarowałam prezentami. Po chwili rozległo się wesołe szczekanie. Mój ojciec minął mnie i wściekły zareagował podobnie jak poprzedniczka, a ja tak jak wcześniej zastosowałam ciętą ripostę. Po krótkiej kłótni i chwili milczenia, odwiązałam przestraszonego pieska i zaproponowałam przejście do salonu. Jubilat chciał już robić aferę lecz żeńska strona go uspokoiła

i przeszliśmy do rozmów, zabaw oraz tortu. Przez większość czasu trzymałam zwierzaka na kolanach, lecz zaobserwowałam, że rodzice co raz chętniej na niego spoglądają. Po dwóch godzinach rodzinnej uroczystości zaproponowałam wspólny spacer po okolicy. Ich niechęć do Miśka malała z każdą spędzoną chwilą z psem. Z związku z tym postanowiłam zostać na noc by jeszcze lepiej się zaprzyjaźnili.

Następnego dnia rano wyszliśmy z psem ponownie całą rodziną. Miałam wrażenie, że moim rodzicom sprawia to przyjemność, dlatego postanowiłam, że będę przyjeżdżać z pieseczkiem w każdej wolnej chwili i tak też zrobiłam. Przy każdym moich kolejnych odwiedzinach moi rodzice co raz bardziej angażowali się w opiekę nad szczeniakiem, a co zaskakujące tata najbardziej. Wyprowadzał go, mył, szczotkował sierść i zęby, karmił, bawił się z nim. Uczył Carlos-a nawet aportować, a także wykonywać inne wspaniałe sztuczki. To oni zdecydowali się zaopiekować nim w wakacje. Co było naprawdę niesamowite, ponieważ odkąd pamiętam powtarzali, że nie wezmą psa do domu ponieważ nie dość że wszystko będzie zniszczone i całe w sierści, to oni jeszcze będą musieli się nim zajmować, co jest skandalem, a teraz robili to tak jakby była to chwila, która zaraz umknie i już nigdy nie powróci. Muszę przyznać, że mój ukochany piesek też ich uwielbia, więc bez obaw go tam zostawiałam a oni nie pozwalali mu zatęsknić.

Od tamtego listopadowego dnia minął już prawie rok. Zauważyłam, że podejście tatusia do psów i ogólnie zwierząt zmienił się diametralnie. Nie uważa ich już za istoty nic nieczujące, przywiązane na łańcuchu, mające straszyć ludzi i pilnować podwórka. Pokochał je tak jak ja i uważam, że każdy kto spotyka takich ludzi jak mój ojciec sprzed lat powinien nauczyć ich że psy są wspaniałe, że także mają uczucia. Musimy pamiętać, że pies to nie zabawka, którą możemy wymienić na nową, że on także się boi, że go też boli, że on też kocha.

Kalina Pomarańska

Szkoła Podstawowa nr. 293 im. Jana Kochanowskiego w Warszawie

Moje spojrzenie na HIPOTERAPIĘ i dlaczego konie w moim życiu są ważne

Jakiś czas temu czytałam książkę „Koń na receptę”. Było tam przedstawione jak konie pomagały dzieciom więcej rozumieć i czuć. Była to hipoterapia. Po przeczytaniu tej świetnej książki całkiem inaczej spojrzałam na to, jak mądre i inteligentne potrafią być zwierzęta. Konie między innymi pomagały ludziom, którzy byli niewidomi lub mieli choroby nerwowo-mięśniowe. Hipoterapia opiera się na tym, że dzieci, młodzież oraz dorośli, mają kontakt z istotami niezwykle cierpliwymi i kochanymi. Podczas tej

niezwykłej terapii ludzie mają możliwość obserwować konie, głaskać je, słuchać ich przyjaznego parskania, co pobudza i stymuluje wszystkie zmysły: węchu, słuchu, wzroku i dotyku. Możliwa też jest jazda, (oczywiście bez wszelkiego sprzętu i w wolnym, spokojnym tempie - stępie) ale jest ona dozwolona na najbezpieczniejszych i przyzwyczajonych do tego koniach. Są one przygotowywane do hipoterapii od małego. Najlepiej żeby koniem do tego był wałach (ale niekoniecznie) i spełniał poniższe warunki: wiek powyżej pięciu lat, wysokość zharmonizowana z wielkością pacjenta, chód rytmiczny i elastyczny, charakter spokojny i zrównoważony. Do najlepszych koni wykorzystywanych do tej terapii należą hucyły (rzecz jasna nie wszystkie, zdarzają się też odporne osobniki tej rasy), ponieważ są spokojne i szybko przebaczą błędy. Jedną z form hipoterapii jest fizjoterapia na koniu. Podczas niej osoba niepełnosprawna wykonuje różne figury na koniu, np. kładzie się na nim, obraca lub inaczej się gimnastykuje. Metoda ta usprawnia ruchy. W niektórych stajniach/stadninach, organizowane są obozy rehabilitacyjne dla dzieci niepełnosprawnych. W czasie turnusu mogą poznawać konie, bawić się z nimi oraz dowiadywać się jak się z nimi obchodzić.

W związku z tym, że także jeżdżę konno i kocham konie, uważam że hipoterapia to jeden z najlepszych i najciekawszych sposobów na rozwijanie zmysłów oraz leczenie ludzi niepełnosprawnych umysłowo i fizycznie. Konie to moim zdaniem, stworzenia niezwykle inteligentne, przyjazne i piękne, a jednocześnie zabawne i zawsze poprawiające humor. Od niedawna w wakacje jeżdżę na obozy jeździeckie do mojej cioci i wujka, gdzie uczę się i utrwalam wszystkie dotychczasowe umiejętności. Dlatego też moje zdanie na temat tej terapii jest takie, a nie inne, ponieważ jak wspomniałam kocham te niezwykle zwierzęta i jestem pewna że mogą każdemu pomóc. Mogą zostać naszymi najlepszymi przyjaciółmi, których nikt nie będzie w stanie zastąpić. Moim zdaniem tak samo jest w kwestii hipoterapii. Koń będzie cię wspierał zawsze i cokolwiek by się stało, nie odwróci się od ciebie tak jak ludzie mogą to zrobić. Jeden z moich ulubionych cytatów:

„Dlaczego wolę konie od ludzi? Bo koń nigdy mnie nie zrani”- autor: xdpedia.pl.

Myślę że to mówi wszystko o tym, na czym mi zależy. Mimo że mojego końskiego ulubieńca już ze mną nie ma, tylko galopuje gdzieś daleko w obłokach, nigdy o nim nie zapomnę. Może nie widziałam go codziennie, może on mnie ledwo znał, ale to nie ma znaczenia.

Pewnie dlatego nie oddałabym swojej miłości koni za nic w świecie i dlatego właśnie one są moimi najlepszymi przyjaciółmi.

Helena Bek

Szkoła Podstawowa nr 359 im. Zawiszków Proporca „Victoria” w Warszawie

Zwierzęta, z którymi się przebywa, zmieniają emocjonalność człowieka, nie tylko jego rutynę i sposób spędzania wolnego czasu. Potrafią być bardziej wrażliwe od ludzi i rozumieją czasami o wiele więcej. Okropne jest to, że niektórzy znęcają się nad nimi i ich nie szanują. Wiele osób spędza ze swoimi pupilami dużo czasu i zmieniają się pod ich wpływem. Niektórzy przezwyciężają swój strach przed danym stworzeniem, kiedy mają z nim normalny kontakt, a nie tylko widują je na ulicy.

Moja siostra, gdy była mała, bardzo bała się psów. Nawet, gdy widziała jakiegoś na ulicy. Jednocześnie bardzo chciała mieć pieska, ale nie mogła przezwyciężyć strachu. Pewnego dnia, kiedy jechałyśmy z rodzicami do Krakowa, zdarzyło się jednak coś niezwykłego. W przedziale pociągu, którym podróżowaliśmy, spotkaliśmy młodego mężczyznę. Pasażer nie podróżował sam. Towarzyszył mu buldożek. Był to jeden z najbardziej uroczych piesków, jakie kiedykolwiek widziałam. Miał nietypowe umaszczenie. Jego futro zlewało się w mleczno-brązowe łatki. Później dowiedziałam się, że buldogi mogą być: laciate, brązowe, czarne, czarno-białe i w nietypowym kolorze - marengo. Ten, którego spotkaliśmy, był chłopcem. Naszą uwagę zwrócił także jego typowy dla buldogów, nierówny zgryz. Wyglądał uroczo. Zajęliśmy swoje miejsca, ale nikt nie spodziewał się, że nasza podróż będzie miała tak zaskakujący koniec.

Właściciel chciał, aby pies zachował spokój, lecz nic z tego. Niespodziewanie dla wszystkich, pierwsza pogłaskała go moja siostra. Raz pogłaskany buldożek, nie mógł się uspokoić. Przez całą naszą podróż biegał radośnie wzdłuż przedziału, podskakując i bawiąc się z nami.

Rodzice nie mogli wyjść z podziwu. Byli bardzo zaskoczeni nietypową reakcją mojej siostry i jej relacją ze spotkanym pieskiem. Pierwszy raz zdarzyło się, żeby tak cieszyła się ze spotkania ze zwierzątkiem i nie odczuwała strachu. Tego samego dnia nasz tata poszukał ogłoszeń dotyczących adopcji małych buldożków. Tak poznaliśmy Dulcyneę.

Dulcia na umieszczonym w Internecie zdjęciu wahała różowy kwiatek. Miała wtedy jedynie dwa miesiące. Jak każdy mały buldog miała dużo, spływającej swobodnie po jej ciele, skórki. Kiedy rosła, warstwa ta zamieniła się w charakterystyczne fałdki dorosłego buldoga. Gdy była szczeniakiem, przywieźliśmy ją z Krakowa. Teraz ma trzy lata. Od pierwszej chwili, kiedy pojawiła się w naszym domu, stała się członkiem rodziny. Jest buldogiem obdarzonym silną osobowością. Ma swoje ulubione zabawki i czynności. Lubi się opalać w promieniach słońca. Zimą Dulcia siedzi pod kołdrą i niechętnie

wychodzi na zewnątrz, nawet w sweterku. Jednak z nadejściem wiosny, całe dnie spędza w ogródku. Wynosi także zabawki, które wyprowadza wtedy na spacer jakby chciała się nimi opiekować. Do jej ulubieńców należą dwie świnki i kotek. Jest przyjazna wobec innych zwierząt w naszej okolicy. Często widuję ją, kiedy szczeka w stronę sąsiedniego ogrodzenia, za którym mieszka Ares - biało-brązowy, puchaty pies. Kiedy spacerujemy z Dulcią w parku, najbardziej lubi spotykać znajomego wilczurka, Grotka. Bawią się wtedy wspólnie piłkami i biegają bardzo szybko. Nasz buldog wyróżnia się radosnym, pogodnym usposobieniem. W czasie świąt, kiedy zdarza się, że – tak jak inni domownicy - otrzymuje upominki, cieszy się z nich najbardziej. Na początku biegnie z nimi na górę, żeby pobawić się w spokoju, ale już po chwili chwali się wszystkim tym, co dostała.

Dulcia ma także szczególne upodobania kulinarne. Smakują jej warzywa i owoce. Do jej przysmaków należą również suszone rybki. Nie pachną one najładniej, ale zdecydowanie jej to nie przeszkadza.

Dulcia pojawiła się zupełnie niespodziewanie w życiu naszej rodziny, lecz zmieniła je całkowicie.

Kupując zwierzaka, należy dokładnie sprawdzić hodowlę i sposób, w jaki są tam traktowane pieski lub inne zwierzęta. Nie wolno kupować ich w sklepach zoologicznych, ponieważ przetrzymywane na niewielkiej przestrzeni po prostu cierpią.

Warto również zaadoptować zwierzaka ze schroniska. Nie znaczy to, że zwierzęta które są „do kupienia” spotyka lepszy los. Czasami jest zupełnie odwrotnie. Przed kupnem, albo zaadoptowaniem pupila, należy się długo i poważnie zastanowić. Trzeba też pamiętać o dobrych metodach wychowawczych pieska. Nie wolno go karać „klapsem”, ponieważ sprawia to ból i uczy agresji. Wiadomo, że jeśli pies nie będzie miał gryzaków lub zabawek do gryzienia, będzie musiał o coś ocierać swoje ząbki, ponieważ mu rosną.

Relacja ze zwierzętami odgrywa w moim życiu ważną rolę. Darzę je szczególnym podziwem i szacunkiem. Dlatego też zrezygnowałam z jedzenia mięsa. Podjęłam właściwą decyzję i nie wyobrażam sobie, jak można żyć inaczej.

Nadia Dworzycza

Szkoła Podstawowa nr 48 im. Adama Próchnika w Warszawie

Zmiany w życiu

Dziesięcioletnia Lilka mieszkała razem ze swoją siostrą i ciocią na osiedlu. Dziewczynka lubiła czesać się w dwa długie warkocze. Inne dzieci, także te w klasie nie lubiły jej, bo była chwalipiętą, leniem i dokuczala innym, rzadko wychodziła na dwór. W szkole miała złe oceny i była najgorszą uczennicą w klasie.

Jej starsza siostra Łucja była 14-latką, która grała w gry na komputerze w zamkniętym pokoju, rzadko z nią rozmawiała, a ciocia, która ciągle pracowała do późna, nie miała dla niej czasu.

Pewnego dnia ktoś zadzwonił do drzwi, gdy Lilka je otworzyła, zobaczyła małego biszkoptowego labradora. Ciocia poprosiła ją, żeby zabrała go do domu. Odbyło się głosowanie, kto zostanie opiekunem psa. Ciocia pomyślała, że pies najlepiej wpłynie nie na Łucję tylko na Lilkę, wpadła również na pomysł, żeby pies wabił się Cukierek.

Początkowo dziewczynka nie chciała opiekować się szczeniakiem, bo nie miała ochoty wcześniej wstawać, żeby wychodzić z nim na spacer. Jednak piesek jak budzik codziennie o siódmej rano alarmował Lilkę swoim szczekaniem, że musi z nim wyjść.

Pewnego dnia podczas spaceru po parku poznała Basię i Piotrka, którzy od kilku dni obserwowali ją. Dzieci zaprzyjaźniły się ze sobą i wspólnie razem z Cukierkiem wychodziły na spacer.

Po miesiącu u Lilki można było zauważyć niesamowite zmiany: przestała się przechwalać, zaczęła częściej wychodzić na dwór, być miłszą dla innych. W szkole lepiej się uczyła, poprawiła stopnie i ciocia była z niej zadowolona.

Pewnego dnia Lilka przeziębila się. Miała gorączkę i męczył ją kaszel, niestety nie mogła wyjść z Cukierkiem, jej obowiązki przejęła tymczasowo ciocia. Właśnie przechodziła przez plac zabaw, gdy spotkała jakąś starszą panią, która od razu rozpoznała Cukierka. Ona również miała psa, więc obie spuściły je ze smyczy. Starsza pani zagadnęła: „Czy jest pani ciocią Lilki?”. Ciocia potwierdziła. Staruszka zaczęła opowiadać jak miła jest dziewczynka, jak pięknie bawi się z przyjaciółmi i wszystkim pomaga. Gdy staruszka skończyła swoją opowieść, ciocia nie mogła otrząsnąć się ze zdumienia. Była tak bardzo zajęta swoją pracą, że nie zauważyła zmian w jej zachowaniu.

Łucja też miała dbać o Cukierka i gdy to ona miała wychodzić z psem zmiany pojawiły się i u niej. Przystawała całymi dniami grać w gry na komputerze, zaczęła w końcu wychodzić na dwór. Ciocia uznała, że szczeniak dobrze wpływa na obie dziewczynki.

Szymon Dudek

Szkoła Podstawowa nr 63 im. Zawiszy Czarnego w Warszawie

Moje życie z Darwinem

Nazywam się Szymon Dudek i mam 11 lat. Od zawsze marzyłem o tym, żeby mieć jakieś zwierzątko, a najlepiej psa, tylko nie mogłem się zdecydować, jakiej rasy. Niestety, rodzice ciągle mi powtarzali, że jestem jeszcze za mały, że to duża odpowiedzialność, że może kiedyś... Dlatego przestałem już pytać i prosić.

Niedaleko mojego domu znajduje się Park Moczydło, do którego chodzą ludzie na spacery ze swoimi pupilami. Ja też tam chodzę, ale po to, żeby pojeździć na hulajnodze lub na rowerze.

Pewnego dnia, gdy spacerowałem w parku, spotkałem swojego kolegę Michała. Nie był sam, tylko ze swoim psem. Postanowiłem podejść do niego i porozmawiać.

- Cześć Michał – zacząłem.

- Cześć Szymon. Dawno się nie widzieliśmy – odpowiedział.

- Od wakacji, od kiedy zmieniłeś szkołę. Ale widzę, że masz pieska – stwierdziłem. - Jak się wabi?

- Nazywa się Maksio. Chcesz go pogłaskać? – spytał Michał.

- Pewnie, że chcę. Ja też bym chciał mieć psa, ale rodzice nie chcą się zgodzić – zacząłem.

- Moi sami zaproponowali. Nie mam rodzeństwa i trochę mi smutno samemu w domu – powiedział Michał.

- Może moi rodzice kiedyś zmienią zdanie - rozmarzyłem się i pożegnałem z Michałem.

Kiedy wracałem, rozmyślałem o tym, co powiedzieć rodzicom, jak ich przekonać, żebym mógł dostać ukochanego zwierzaka. Wieczorem zdobyłem się na odwagę i przy kolacji zacząłem rozmowę.

- Mamo, dzisiaj spotkałem w parku Michała. Był z psem Maksiem.

Może i ja mógłbym dostać szczeniaka – zacząłem.

- Synku, rozmawialiśmy już na ten temat. Pies to duża odpowiedzialność. Trzeba z nim wychodzić na dwór, opiekować się nim - powiedziała mama.

- Obiecuję, że będę się nim zajmował. Proszę, proszę. Daj mi szansę – błagałem.

- No dobrze. Weźmiemy kundelka ze schroniska, ale pamiętaj, co mówiłam. To decyzja na całe życie. Pies to nie zabawka – odpowiedziała mama.

Byłem taki szczęśliwy. Mieliśmy pojechać po niego w weekend. Cały tydzień zastanawiałem się, jakiej rasy będzie mój wymarzony piesek.

Kiedy dotarliśmy do schroniska „Na Paluchu” i zobaczyłem te biedne zwierzęta, nie mogłem się zdecydować, którego z nich adoptować. Wszystkie podchodziły do klatek, łasiły się i patrzyły małymi oczkami, prosząc, żeby je stąd zabrać. Nagle zauważyłem małego, długowłosego i łaciego pieska. Był taki wystraszony i miał podkulony ogonek. Zdecydowałem się, że to jego weźmiemy do domu. Dla mnie był najpiękniejszym kundelkiem na świecie. Postanowiłem, że nazwę go Darwin.

Od tego dnia wszystko zmieniło się w moim życiu. Musiałem nauczyć się odpowiedzialności. Z psem trzeba wychodzić na dwór kilka razy dziennie, a nie zawsze mi się chciało. Szczególnie ciężko bywało rano, a także wtedy,

kiedy padał deszcz. Do moich obowiązków należało chodzenie z nim do weterynarza, bo zwierzęta należy szczepić - wiadomo - czworonogi też chorują. Muszę pamiętać, żeby nakarmić Darwina przed pójściem do szkoły i o tym, żeby zawsze miał w misce świeżą wodę. Pupila trzeba też pielęgnować, tzn. czasami wycesać i oczywiście wykapać.

Do najprzyjemniejszych rzeczy należy zabawa z moim psiakiem. Uwielbiam z nim wychodzić na dwór, rzucać mu patyk lub piłkę. Wtedy biegamy razem po dworze jak szaleni, a mama się cieszy, że nie siedzę ciągle przy komputerze i mam więcej ruchu. Nasze spacerki mają jeszcze jedną zaletę. Podczas nich poznałem Olę. Ona też ma psa. Czasami umawiamy się i wychodzimy z naszymi kundelkami na dwór. Gdy psy się bawią, my mamy okazję porozmawiać i pośmiać się.

Wiele czasu poświęciłem na nauczenie Darwina reagowania na różne komendy. Początkowo traktował je jako zabawę, ale później zaczął je wykonywać. Nie było łatwo, ale przy okazji sam nauczyłem się cierpliwości i wytrwałości w dążeniu do celu.

Rodzice kupili mi kilka książek o psach. Z nich, oprócz praktycznych wskazówek o czworonogach (np. o pielęgnacji), dowiedziałem się o dogoterapii. To takie zajęcia rehabilitacyjne dla dzieci chorych na autyzm lub porażenie mózgowie. Podczas zajęć ze zwierzętami dzieci nawiązują z nimi kontakt, koncentrują na nich swoją uwagę i rozluźniają się. Terapia ta pozwala im nabrać pewności siebie i uczy, jak radzić sobie z lękami.

Podobno więźniowie przebywający w aresztach śledczych mogą brać udział w tresurze psów ze schronisk. Uczą ich podstawowych komend i pielęgnują. Przeszkolone zwierzęta są przekazywane później do adopcji. Ma to też swoją dobrą stronę, ponieważ skazani pracujący z tymi czworonogami stają się mniej agresywni, bardziej odpowiedzialni i czują się potrzebni.

W moim bloku mieszka pani Joanna, która ma psa rasy labrador. Sąsiadka jest osobą niewidomą, a psiak jest jej przewodnikiem. Pani Joanna przychodzi czasami do naszej szkoły i prowadzi zajęcia dla najmłodszych klas. Opowiada dzieciom o swoim życiu. Mówi, że pies stał się dla niej jej oczami. Jak byłem młodszy, zastanawiałem się, czemu nigdy nie pozwalała mi bawić się z jej pupilem. Teraz już wiem, że pies musi zająć się swoją „pracą” i nie wolno go rozpraszać.

Darwin został moim najlepszym przyjacielem. Za moją miłość i opiekę odwdzięcza się wiernością. Gdy wracam ze szkoły, czeka na mnie w drzwiach. Kiedy wchodzę do domu, skacze na mnie, szczeka z radości i chce się bawić. Jest moim najlepszym kolegą, bo nigdy mnie nie zdradził i z nikim nie będzie mnie obgadywał. Gdy jest mi smutno, mogę się mu wyżalić, a on zawsze mnie wysłucha. Przychodzi wtedy do mnie, przytula się i liże mi twarz. Zawsze po

tych czułościach przechodzi mi zły humor i znowu jestem wesoły. Kiedy nadchodzi pora snu, Darwin kładzie się obok mnie i wtedy zawsze łatwiej mi zasnąć.

Mogę śmiało powiedzieć, że mama miała rację. Pies to ogromna odpowiedzialność. Uważam, że zdałem egzamin, bo opiekuję się Darwinem najlepiej jak potrafię. Stałem się odpowiedzialny i obowiązkowy. Życie z czworonogiem jest piękniejsze i weselsze. Dzięki niemu nawiązałem nowe kontakty i poznałem fajną koleżankę Olę. Pies stał się moi towarzyszem życia i teraz z nim codziennie przemierzam moją trasę dobrych ludzi.



Grand Prix

Katarzyna Kobyłka

Gimnazjum nr 41 im. generała Mariusza Zaruskiego w Warszawie

pastele olejne

48



I miejsce

Jan Majewski

Szkoła Podstawowa nr 12 w Warszawie

Kolaż



I miejsce

Wiktor Milkowski

Szkoła Podstawowa nr 48 im. Adama Próchnika w Warszawie

Pastele olejne

50



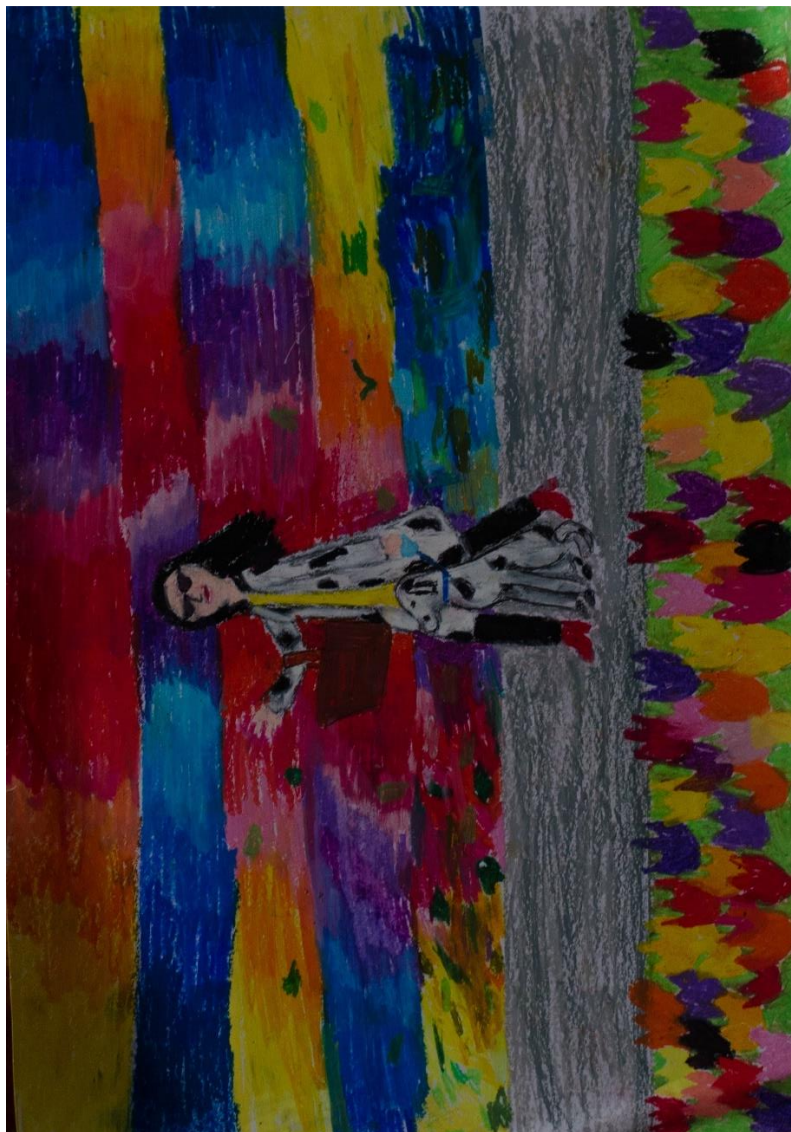
II miejsce

Gabriela Mazur

Szkoła Podstawowa nr 69 w Warszawie

Pastele olejne

51



II miejsce

Zofia Lubowicka

Szkoła Podstawowa nr 48 im. Adama Próchnika w Warszawie

Pastele olejne



III miejsce

Aleksander Gołoś

Szkoła Podstawowa z Oddziałami Integracyjnymi nr 82 w Warszawie

Kolaż

53

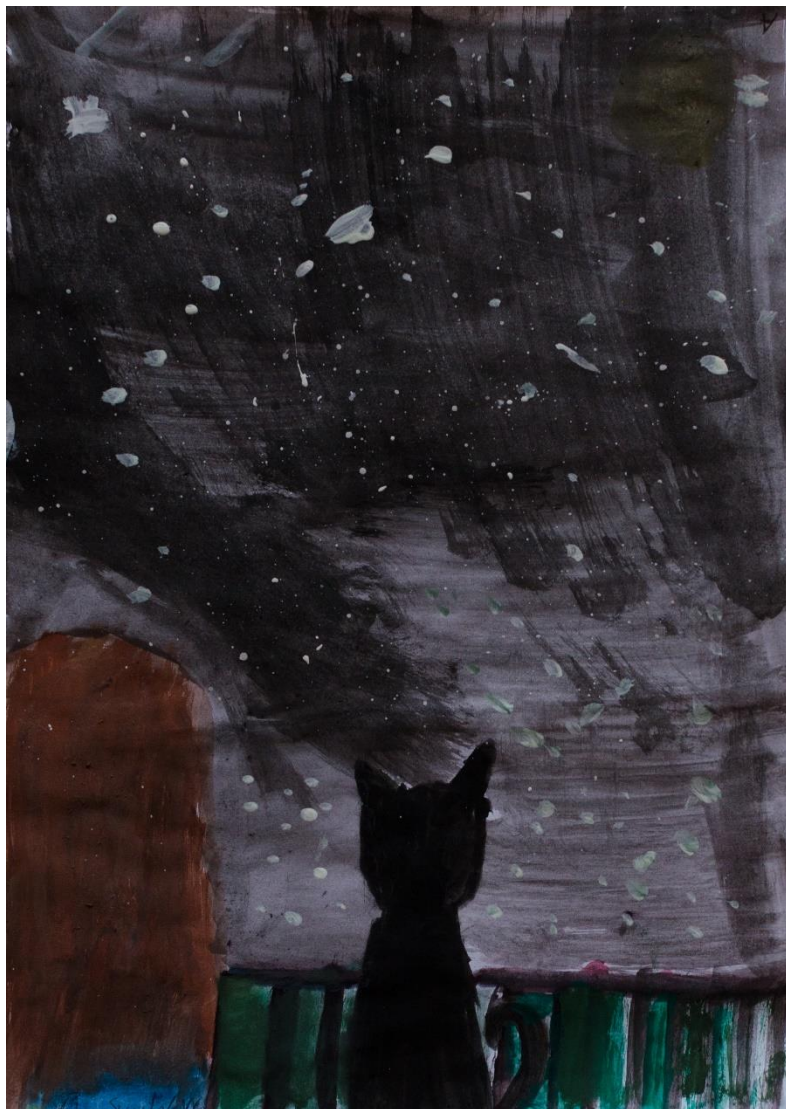


Wyróżnienie

Laura Kurnik

Szkoła Podstawowa nr 48 im. Adama Próchnika w Warszawie

Pastele, farby plakatowe



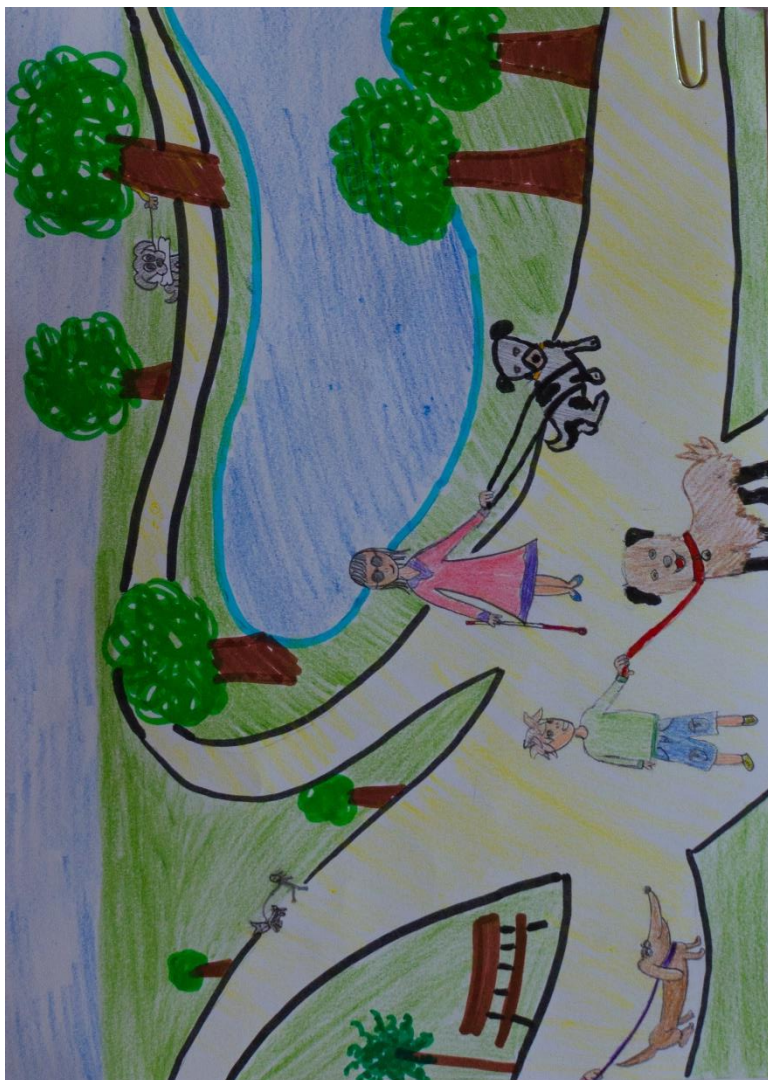
Wyróżnienie

Ada Szustek

Szkoła Podstawowa nr 48 im. Adama Próchnika w Warszawie

Farby plakatowe

55



Wyróżnienie

Jagoda Chodorowska

Szkoła Podstawowa z Oddziałami Integracyjnymi nr 82 w Warszawie

Flamaster, pastele



Wyróżnienie

Jakub Czochara

Szkoła Podstawowa z Oddziałami Integracyjnymi nr 82
kolaż